

1138

Peñsiw.

575

1138

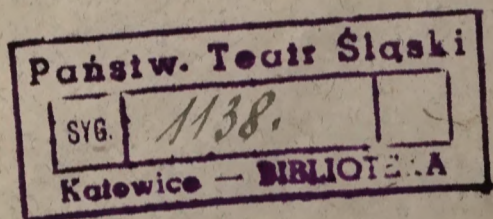
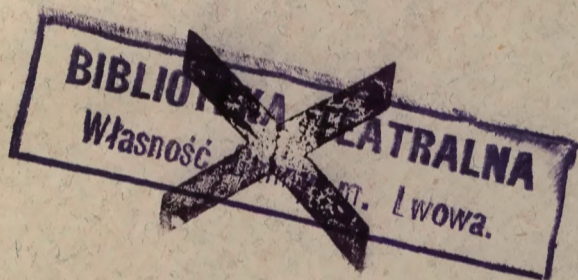
~~385.~~

~~10821A~~

Twie danny

~~1121~~

1941
1942
1943
1944
1945
1946
1947
1948
1949
1950
1951
1952
1953
1954
1955
1956
1957
1958
1959
1960
1961
1962
1963
1964
1965
1966
1967
1968
1969
1970
1971
1972
1973
1974
1975
1976
1977
1978
1979
1980
1981
1982
1983
1984
1985
1986
1987
1988
1989
1990
1991
1992
1993
1994
1995
1996
1997
1998
1999
2000
2001
2002
2003
2004
2005
2006
2007
2008
2009
2010
2011
2012
2013
2014
2015
2016
2017
2018
2019
2020
2021
2022
2023
2024
2025
2026
2027
2028
2029
2030
2031
2032
2033
2034
2035
2036
2037
2038
2039
2040
2041
2042
2043
2044
2045
2046
2047
2048
2049
2050
2051
2052
2053
2054
2055
2056
2057
2058
2059
2060
2061
2062
2063
2064
2065
2066
2067
2068
2069
2070
2071
2072
2073
2074
2075
2076
2077
2078
2079
2080
2081
2082
2083
2084
2085
2086
2087
2088
2089
2090
2091
2092
2093
2094
2095
2096
2097
2098
2099
2100
2101
2102
2103
2104
2105
2106
2107
2108
2109
2110
2111
2112
2113
2114
2115
2116
2117
2118
2119
2120
2121
2122
2123
2124
2125
2126
2127
2128
2129
2130
2131
2132
2133
2134
2135
2136
2137
2138
2139
2140
2141
2142
2143
2144
2145
2146
2147
2148
2149
2150
2151
2152
2153
2154
2155
2156
2157
2158
2159
2160
2161
2162
2163
2164
2165
2166
2167
2168
2169
2170
2171
2172
2173
2174
2175
2176
2177
2178
2179
2180
2181
2182
2183
2184
2185
2186
2187
2188
2189
2190
2191
2192
2193
2194
2195
2196
2197
2198
2199
2200
2201
2202
2203
2204
2205
2206
2207
2208
2209
2210
2211
2212
2213
2214
2215
2216
2217
2218
2219
2220
2221
2222
2223
2224
2225
2226
2227
2228
2229
2230
2231
2232
2233
2234
2235
2236
2237
2238
2239
2240
2241
2242
2243
2244
2245
2246
2247
2248
2249
2250
2251
2252
2253
2254
2255
2256
2257
2258
2259
2260
2261
2262
2263
2264
2265
2266
2267
2268
2269
2270
2271
2272
2273
2274
2275
2276
2277
2278
2279
2280
2281
2282
2283
2284
2285
2286
2287
2288
2289
2290
2291
2292
2293
2294
2295
2296
2297
2298
2299
2300
2301
2302
2303
2304
2305
2306
2307
2308
2309
2310
2311
2312
2313
2314
2315
2316
2317
2318
2319
2320
2321
2322
2323
2324
2325
2326
2327
2328
2329
2330
2331
2332
2333
2334
2335
2336
2337
2338
2339
2340
2341
2342
2343
2344
2345
2346
2347
2348
2349
2350
2351
2352
2353
2354
2355
2356
2357
2358
2359
2360
2361
2362
2363
2364
2365
2366
2367
2368
2369
2370
2371
2372
2373
2374
2375
2376
2377
2378
2379
2380
2381
2382
2383
2384
2385
2386
2387
2388
2389
2390
2391
2392
2393
2394
2395
2396
2397
2398
2399
2400
2401
2402
2403
2404
2405
2406
2407
2408
2409
2410
2411
2412
2413
2414
2415
2416
2417
2418
2419
2420
2421
2422
2423
2424
2425
2426
2427
2428
2429
2430
2431
2432
2433
2434
2435
2436
2437
2438
2439
2440
2441
2442
2443
2444
2445
2446
2447
2448
2449
2450
2451
2452
2453
2454
2455
2456
2457
2458
2459
2460
2461
2462
2463
2464
2465
2466
2467
2468
2469
2470
2471
2472
2473
2474
2475
2476
2477
2478
2479
2480
2481
2482
2483
2484
2485
2486
2487
2488
2489
2490
2491
2492
2493
2494
2495
2496
2497
2498
2499
2500
2501
2502
2503
2504
2505
2506
2507
2508
2509
2510
2511
2512
2513
2514
2515
2516
2517
2518
2519
2520
2521
2522
2523
2524
2525
2526
2527
2528
2529
2530
2531
2532
2533
2534
2535
2536
2537
2538
2539
2540
2541
2542
2543
2544
2545
2546
2547
2548
2549
2550
2551
2552
2553
2554
2555
2556
2557
2558
2559
2560
2561
2562
2563
2564
2565
2566
2567
2568
2569
2570
2571
2572
2573
2574
2575
2576
2577
2578
2579
2580
2581
2582
2583
2584
2585
2586
2587
2588
2589
2590
2591
2592
2593
2594
2595
2596
2597
2598
2599
2600
2601
2602
2603
2604
2605
2606
2607
2608
2609
2610
2611
2612
2613
2614
2615
2616
2617
2618
2619
2620
2621
2622
26



D-78/4461




R 858

~~385~~

„*Dieu Dany.* —

Komedja w trzech aktach, z włoskiego, Pawła ferrari.


No 1138

Osoby.

- + Margrabia Robert Permanso Darilberto.
 - + Leonora, jego żona.
 - + Wiktor. } ich synowie.
 - + Matylda } }
 - + Margrabia Andrzej Permanso Rinaldi.
 - + Hortensja, jego żona.
 - + Estera, ich córka.
 - + Krabia Vernequi.
 - + Fiozje Lambrini. ♀
 - + Leopold, siostrzeniec księcia.
 - + Emma Stuart.
 - + Quintini, nauczyciel muzyki.
 - + I } Dama.
 - + II } }
 - + III } }
 - + Dwóch gości.
 - + Jacek, służący w domu Permanso Darilberto.
 - + Goście balowi.
- Księżniczka idzie się w Neapolu.



1.

Akt ISalon wykwintnie unieblowany.

W głąb głównie drzwi. Z lewej strony drzwi, prowadzące do gabinetu Leonary.
 Nad drzwiami portierę. Z prawej strony, więcej ku prawej stronie, elegancki
 stół; w kąt łóżko meblowane krzesła. Na lewo biurko, z przyłóżkami do
 pisania, przed biurkiem mały fotel. Oprócz powyższych wymienionych mebli,
 znajdują się w salonie lustra, stółki i książeczki, świecy i t. d. Na
 stole kilka ciałek bułeczek.

Scena IJożef pisanij Hortensja.

[Z odstoniciem kwitną nudać Jożefa ofartego o porzecz krzesła i instale-
 nogo w dźwięki fortepianu, dolatujące z przyległego pokoju. Horstka
 słuch. Hortensja wchodzi w stroju wziętym. Spoglądając Jożefa
 jej nie widzi, usmiecha się. Anielsko przystępuje się tęsknij melodji fortepianu.
 Muszka siednie. — Jożef prostuje się i wychodzi na przed sceny.]

Jożef. [Do siebie] Mój Boże! Jak ten ta moja Pani pisknie gra na fortepianie!...
 To nie tak jak jej sennagrowa.

Hortensja. [s'migając się] Masz, rajs Jożefie! —

Jożef. [spoglądając Hortensję, uśmiechając się] O! o!... Pani margrabina myłany...
 ja nie wiedziałem....

Hortensja. [ciągając się s'migając.] Ależ powiadam ci, że masz najzupelniejszą rajs!
 Moja sennagrowa, gra o wiele lepiej ode mnie, o ja bynajmniej naderosną o to nie
 jestem!

Jożef. Pani Margrabina rajs darować....

Hortensja. Dobrze, dobrze... Nic nie szkodzi.... Proszę napisać się Pani, czy przyjeżdżam. A!... Co tu bukietów! I gdzieś to?

Jożef. Jeden od Pani margrabiny, drugi od naszego Pana.

Hortensja. Co za wesoły małżonek!

Jożef. Przeciwnie pana Hrabiego Serenę a ciwarty, od pana porucznika Lambri.

Hortensja. Od porucznika Lambri?

Jożef. Tak jest. — Pani margrabina powie, że jej się najmniej jej przychodzi. [Wchodzi na prawo]

Hortensja. [sama.] Lambri, byłby wcale nie złym party dla Estery... Takas nie wdaje mi się, żeby miała wiele przekonania do Wiktora... wreszcie chociaż wie, kiedy ~~on~~ wróci [marsza ramionami] — jest oficerem marynarki. Ale atak i Leonora!

Scena II.

Hortensja. Leonora.

Leonora. [wchodzi z prawej strony, za nią Jożef, który natychmiast wychodzi głównymi drzwiami.] Witaj kochana Hortensjo! [Wdaje jej rękę.]

Hortensja. Dzień dobry... może ci przyśłałam?

Leonora. Oczywiście! Przegrzwałam na fortepianie, kilka namiętnych, które obrywałam na imioniny od firm Ricordi i Lucca i Mozjohana.

Hortensja. Tak widzę, stawni nakłady, rywalizują ze sobą, także i ~~pod~~ w grzeszności.

Leonora. Mój mój kupuje u nich bardzo wiele nut dla mnie i Nitylly...

Hortensja. [Wdaje matę, ale zgrabny bukietek.] I ja przyznaję ci to!

Leonora. Jesteś zawsze pełną dobroci i uprzejmości. [Wdaje się serdecznie i siadają obok siebie.]

Hortensja. Muszę ci się przyznać, że tym razem, interes jest powodem mojej bytności.

Leonora. Lubię zawsze kartować!

Hortensja. Prawdzi! powinnu skłonić się, do spełnienia niejś prośby.

Leonora. O raka! lepij!

Hortensja. Nie kartuj! Cym razem możesz mi wyświadczyć niezwykłą przysługę!

Leonora. Jeżeli ^{ty chcesz} mogłaś i najwzkieśszą przysługę.

Hortensja. Możesz — jeżeli chcesz!

Leonora. Ale! chcesz i pewnością — jeżeli mogłaś.

Hortensja. Nie bawmy się w słowa. Cym razem, jakby wszystko wytaś nie od niejś woli.

Leonora. [ścisnąć się.] Wymyśl tylko... nie byłym chciała, mogła bym powiedzieć, że jesteś mł. brzydka i tła — a przecież powiedzieć tego nie mogę!

Hortensja. [ziarobliwie.] Ho! kapiawne — bo! jestem — nie powiem piękna — ale wcale sympatyczna, a mój gracie rzeczy takie i dobre. Może trochę, trochę — [wskazuje palcem na czoło na znak, że nie posiada wiele rozumu.] Nie proszę, cym razem będę już nak mówić bardzo rozsądnie!

Leonora. [śmiej się.]

Hortensja. [tajemniczo.] Ktoś tam soluc ^{chciał, owo} — znalazł tam ^{chciał, owo} ciemy młot! Pierwszy w mojem życiu! On, w tem miejscu. Później tam nań dłużej i dawało mi się, że mówi do mnie «Hortensjo! jak śmiesz twierdzić, że masz lat 29, skoro ich już będziesz 32.....» Nie uwierzę jak mnie to odrycie porażało.

Leonora. ^{nie} Coś takiego?

Hortensja. Jak li wiadomo, zaczęli matronkowie nasi, odnowić wspólność naszą w Dółpali. To nowego mieszkania trochę wprowadzić się uroczystość, więc też uroczystą soluc następujący planik: Dany był, a przy tej sposobności są, przedkontyngentem światu naszą, która przed tygodniem otrzymała i pensji. ^{tak} Wczoraj, na dzień tygodni, skoro wasza Małylda wróciła i pensji, wy- ~~nam~~ dała cię wali nas na prosić. Wczoraj już was na prosić.

Leonora. Ha.. Dobrze! Dajcie łal.

Hortensja. Postanowiliśmy dać go gładko i ortalnie przysługę cię na prosić.

Leonora. [to prosić] Wczoraj tam się mowało, że co było robić — tyle najomnych co tych dniach myśleć.

Leonora. Tęsknisz li bardzo, kochana Hortensjo ale....

Hortensja. Żadnego ale, biega na siebie i pownościę!

Leonora. Wiem dobrze, że nie bywam nigdy. — Myślę być z wami.

Hortensja. Nie, nie, nie, musisz przyjąć koniecznie me własnej osobie. Tym razem nie możesz, nie możesz odmawić!

Leonora. Wybro mi bardzo, Hortensjo, że ci muszę odmówić, ale wiem doskonale, że od lat dwiętnastu mi kieniam postanowienia ~~tego~~ pod tym względem. Liczyłam niespełna siedemnaście lat ~~moją~~, kiedy odsunęłam się od świata i oddałam wyłącznie wychowaniu dzieci. Otrzymałam nauczycielami i rajtą księżkę, mi, muzykę, kwiatami i robota, a w ostatnim roku niestanną korespondencję z dziećmi, nie przyjmowałam i nie przyjmuję nikogo, prócz krewnych i kilku dobrych znajomych. Umiałam oprzeć się prośbom i namowom... nawet męża i musiałam wytrwać sześć, że oprócz przykrości ja tej doznaję kawałek, ile razy odmówić muszę czyjeś prośbie, nigdy dotychczas nie żałowałam mego postanowienia. Ładnie domowe, to są moje słodkie, a samotność stała mi się prawie niechodzącą potrzebą. To też proszę ci Hortensjo, nie nalegać! Mój mój, bóg, dzie u was i pownościę, a o mnie powiecie, że nagle zasnęła. [Usmiechając się.] Jak zwykle! —

Hortensja. Wylax moja droga, ale nie postępowaj się innie tak Tatua! Złota, czyny, która z nas bardzo jest uparta. Proszę ci nie przyznaj! Tym razem chodzi o rzecz wielkiej wagi!... Pomyśl tylko, że to ja, ja margrabinia Hortensja Cernanso d'Alvdi, która mody i elegancji, wprowadzam w świat świat, a sama przyjmuję na siebie rolę prokuratora matki.... i dziś hal, na którym staję być tylko jako doktoraja!

Leonora. [usmiechając się.] Żałuję tylko, że nie mogę się z nią zobaczyć.

Hortensja. W tym wypadku, powiedz raczej za zakończ! — Prawdy mówię, przestraszyłam się w pierwszej chwili nowej roli.

Leonora. [usmiecha się i bierze ją za rękę.] Jakże ci będzie drogo!

Hortensja. To prawda, nie ciągle jeszcze jestem dzieckiem... ale to już tylko kwestia próżności. Zważa mi tam inną myśl; chciałam dać bał dzieciom. Pójmy to bardzo wynalazek naszego stulecia! Godzi kobiecy i nowego, męskiego! — Ojciec córka moja miała wystąpić w krótkiej sukience — chociaż znova nie na krótkiej, broń Boże! — A ma wąski ślicznie... istnie klejnoty, akurat jak moje! — I wierzysz mi, tedy Esterce, ale ona o moim planie nie słuchać nie chciała. „Jak to?“ zawołała „w krótkiej sukience? Jak dziecko!... Nie, moja mamo, nie o tego! Ja muszę mieć ogon i to stugi. „Bo, boże,“ odpowiedziałam, „no to pójmy bał maskowy.“ „Nie, nie,“ zawołała, „nie chcę bała maskowego, przebiegniecie mnie na cygankę, pasterkę, ogrodniczkę, lub coś podobnego, a ja właśnie chcę mieć suknię z ogonem, według najświeższej mody.“

Leonora. Widożenie w owym sławnym pensjonacie....

Hortensja. Wychowuję doskonale!... Na dowód niechaj Ci przestawię, nie stane go nauczyciela muzyki; wstępuje tam instrumencie jego....

Leonora. Młody naestro Quintini?

Hortensja. Tak jest, piękny młodziuchny blondyn... A drugi dziecinny wychodzi na lewego. A jaki to utalentowany młodziuch! Choćby tylko na piękny i na młody... pierwszy kawaler. — Będą go musieli odpuścić, bo oprostego tu przed kilka dniami, że młody nauczyciel i młoda nauczycielka coś, jakos.... Kwi, kwi mi go bardzo, — taki sympatyczny, ale coś nolić? [i komicznie powaga.] Jestem matką!

Leonora [iartobliwie] A więc masz być było nadbrnąć okumnu?...

Hortensja. Na się okumnić, to też namówiłam dla Esterki suknię z ogonem....

Leonora. Według ostatniej mody?...

Hortensja. Nie se wysłuchiem. Ostatnia moda, nie wygadania należycie piękności figury... a trzeba Ci wiedzieć, że Esterka ma figurę

jak anioł. Złoczył jak jej ślicznie leżkie w nowiej sukni! Trubiono
go według jej własnych wskazówek. — Coś mam nolić? Niech się ba-
daczno bawi — i ja także się bawitam! — Ach, Leonora, kielis' ty niedzi-
jak ja go kocham szalenie, bez granic — xjeść' bym ja była wstanie & na-
tęci! [K. śmieje.] Tyż nie ana teraz spudkaliczynyis swoich tryumfów... a,
sadowolnie się rola ducemy.

Leonora. *Lophomytilus* *triglo* *rechebiotanic* *maruska* *minic*.

Hortensja. Kruska lg. z doskonał! Lico umyciegi tam.

Deanora. O kwyckictwie nie ma mowy.

Hortensja. Oer Leonora!

Leonora. Nic Hortensja. Tedyż nigdy mijs po raz pierwszy przedstawi
miu towarzystwu salonow, wczesas przyjezdo miu nimno a
atrzymawszy pierwsz lehyj, przyssztem sobie nic naradac sz m.
na drug.

Flortensja. Prawiż moniżc, sama temu żeśtś minn, wiżcśj śinnu. wiżcśj śicnnuśc śicnnu, a lity by liś tnnuścśtwno nnnuścśtwno. nnnuścśtwno.

Leonora. Któż śmiał się z narwanu by ją, bezczelności. Powiadają, że
margaryta byłoby mi nie przysięga? ! Myślała się ! cierpiano by mi nie wale
a tego, smieć nie mogłam. Żadalam swatunka ! — znalazłam go
swoim domowem, a dzieci moje. Fiktor i Matylia, stali mi się wroga
Kłóje mi się jeszcze ciagle, nie styks ich driccinno swatobla
by mi ono stało w moich uszach ! Dopiero od roku zaczynam
trochę miedzi. Fiktor ukończył studia w szkole marynarki i wy
w podróż na około świata.

Hortensia. Priglasenm Liss, ne me roknemem sola Lj. podrobnj.

Leonora: Któż skłonił cię do tego? Tęskniłaś za kimś? Czyżbyś miała
kogoś, który by cię odwiedził? [Milczenie, głośniejsze wspomnienie.]

Hortensja. [caule] Leonora!

Leonora. [u mignu & dźwięku.] Co to, to nie!

Hortensja. Larekam ci! Branda, nie nie prawnolubem między ludźmi nigrao
do spraw moich, to też udaj, że się memi nie interesuję; ale nie wiem, co
Przesłuchiwać onierzących moich niefortunnych wielkimi, wybranych
stunących, ofpranione pokójów, w nadziei, ^{że znajdę} ~~innych~~ jakiego tajemnego
Uchodzą na dół góry, a mieli jestem wrocy wiści. Ach! świat um
na mnie na at, bardzo at, ^{Pracownie} mówi jednak, że umiem naka
nac wszelkie pokory. — „Pokory”! O to pisać, którym obłudnik
ka kasywać wszystko.

Leonora. [s'mię się] Alci Hortensjo! Syk napata!... Jaka szkoda, że nie
kianijnego audytorem.

Hortensja. Galibóg, nie szkoda!

Leonora. [z. w.] Płaniam się, że niedopuszczono by ci do słowa.

Hortensja. Ha! niechaj by spróbowali —!

Leonora. I ciu byś im uwolita?

Hortensja. [pamiętajcie & migiecia i wychodząc na przed sceny.] Is bym uro
ta? Hygrivata bym ich!

Leonora. Duntujesz się dźwięk, prawnolubie całemu światu!

Hortensja. He atosci, że odmawiasz miłej prośbie! Pomuś samowoliam
odmowa? Światu, ^{temu} ~~temu~~ światu, którego ty tak bronisz! Doprowadza
mnie do szaleństwa! Był byś przynajmniej zachowywał się tak, jak
przystato na ofiarę jego miłośności, była byś moim mową, dekla
mowała byś wiele, a tem samem ja nie potrzebował bym dokła
mować! Ale gdzie tam! Jak na stric' gestu' wesół, uszczęśliw, radowahny
ty, który świat dźwiękiem jawnie wtargił w otępienie tego, która um
tas' prować cnoty... odmuci... wszelki... nieprawości i uszczęśliwić cał
caenie, ty właśnie bronisz tego świata, który cię odpycha!... A dla czego
cię odpycha? O! światu sprawiedliwości! Dla tego, że sam cię wchodził do
prośbaści, który wykopał. Wykopał, leży potrzebował, a potrzebował
dla tego, że stworzył namiętności i abradnie! — czy to nie logiczne?

Hortensia. Proszę cię, Leonoro nie wspominać mi o tem — Jesteś nam nie
wymowna?

Scena III.

Cir sami: Louf. Leopold.

Leopold. [wchodzi w mundurze oficera artylerji.]

Leopold. [Ktania sig.]

Leopold. Pragnął bym, żeby się wróciły te czasy, kiedy, sztopsem będzie, chodziłem tutaj do szkoły wajsłowej. [Do Hortensji] Pamięta Pani? Rudi, a mój brat, wówczas o afickę nademną, margrabionę Roberta i Anⁿⁱ Imoja.

Gortensja. Pamiętam Jaskonale. Pan, Matylla, Wiktor i Ołstera, bawii,
licie się ~~w moim~~ ^{co to było} upsto u Leonora w grodzie!... ~~Wasmachibis~~ ^{Manzajenc} batatu!

Leonora. ~~On~~ ten sam ichłowiec, stał się dzisiaj porucznikiem artyleriji.

Hortensja. Dłapawdy, nie chce mi się wierzyć, że to ten sam, którego
^{tylko wazy}
~~nie nosiłaś w sutannie tam na uszy wytarasiam~~ —

11.

Leopold. Kiem i miatem jai nawet naszkryt powital'js.

Hortensja. Nojz coby? kiedy? gdzie?

Leopold. Kierowj rano. Dytem u Póistwa, gdyś chciatem utóżyć Pani'mar, grabinie, moje uszanowanie. Nic nastatem Pani jed nak w domu, tylko Panna Estera mnie przyjsza.

Hortensja. [Do Leonory.] Słyszysz? Noja córka przyj mijsz wisty!

Leopold. Tylko przygadkiem. Zobaczyła mnie przez okno, właśnie w chwili, kiedy rozmawiałem z portjensem. Panna me mnie swego siołca, któremu niegdys' tyle sińców na wybijata na głowie, i kawałata. „Leopolduie!“ I ja jz poxnatem, ukłoniłem się,

Hortensja. [usmiechając się do Leonory.] Słyszysz? Jeszcie ciegłe wata na nie, „goń Leopolduie.“

Leopold. Charyjca osóba... a jak gra na fortepianie!

Hortensja. Kie grata takie i na fortepianie?

Leopold. Tak jest.

Leonora. Oj bys Pan ofiero powiedział, gdybys' usłyszał jak śpiewa!

Leopold. Raczymiśi, przesłuchanie!

Hortensja. Kie śpiewata takie?

Leopold. Śpiewali'smy Duet.

Hortensja. Słyszysz? Duet! Śpiewali Duet, sam na sam.

Leopold. Propraszam, nie byli'smy sami — był z nami ~~takie~~ i nauczyciel.

Hortensja. Tito? Quintini?

Leopold. Tak jest, akompaniował nam na fortepianie... Śpiewali'smy Duet, z pishnij Heleny....

Hortensja. Duet Heleny i Parysa? Lwigty Dixie!

Leonora. Jakim ie sposobem, wsiadła jej w ręce taka muzyka?

Hortensja. Musiała szperać w moich nutach. Nam ich pełniz srafs; ne dwa tysiące naszytów.

Leonora. I los musiał akurat wpaść, nie natrafila na partyturę z „pishnij“

Heleny!"

Hortensja. A ten Quintini—

Leonora. Myślatać, że go już odprawiają?

Hortensja. To jest... tak, dopiero w końcu miesiąca.

Leopold. Przypuszczam jak najmocniej, jeżeli datem powródom.

Hortensja. Nie, nie! Tęsknię, że to w granice racjonalnego dążenia. Owszem,

Przychodzi Pan do nas jak najmocniej! Proszę bardzo! Bądźciecie i Estery grać i śpiewać razem. Przychodzi Pan jednak wieczorem—wtedy i ja będę w domu.

Leopold. A czy przyjemności.

Scena IV.

Li sami. Margrabia Robert [wchodzi główni i drania]!

Robert. [bardzo grzeczny, ale szorstki] Wiem dobry Hortensja!

Hortensja. Wiem dobry, kochany bracie.

Robert. Jak się masz Leopoldzie?

Leopold. Bardzo mądrze!

Robert. [Do Leonory.] Niech ²² i twemu miejscu walno będzie ofiarować ci kwiatek, na imieniny.

Leonora. [Do Hortensji i Leopolda.] Dziękuję, jaki mi się grzeczny [Do

Roberta.] Dziękuję mi kwiatek?

Robert. Teraz go otrzymasz. —

Leopold. [Idzie do Roberta.] Jak to? przyjęta?

Robert. [tak samo.] Nie dajcie mi pokazać po sobie! [Głosno] Cóż robisz stry, kochanie, — nie masz od niego żadnych wiadomości?

Leonora. Czy jeszcze ciekawie mieszka w Mantui?

Hortensja. A leć średniowiecznym namysłom?

Leopold. Pracownie ^(z tym rozporządzeniem) mógł stanąć ^{na miejscu} wielki nowiny. Jutro przybywa do Neapolu.

a)
*(Zasłizij, miłej, mił kiedyś kolwiek,
 Hortensja. A nateń — ?*

Leonora. Muszę się namysleć!

Robert. Tak, tak Leonoro, namysł się!

Scena V

lii sami. Jacek wprawa na kbalicę Lornegri.

Jacek. [Anonaując.] Pan brabia Lornegri! [Odchodzi.]

Robert. Lornegri! Jakich niespodzianka!

Leonora. Wiedziałam, że nie zapomni o moich imioninach.

Lornegri. Nieprawda! ? Obynajmniej oar do roku. — *Prac* Poni przyjęci od *prawnego* swego przyjaciela, jak miśrodecniejsze życzenia!

Leonora. Nigdy nie myślałam o Pańskiej przyjęciu.

Lornegri. [Kłania się Hortensji i Leopoldowi; następnie podaje rękę Robertowi i bierze go na stronę.] Muszę & tego przedawic' koniesanie!

Robert. [Po uciu.] Coś takiego?

Lornegri. [j. w.] Dowiesz się na ~~nas~~ *zaraz*.

Robert. [j. w.] Czy coś ważnego?

Lornegri. [j. w.] Ależ dowiesz się....

Leopold. [Po uciu do Roberta.] Margrabio!... Panna Matylda już przyjęta!

Robert. [Względa do pokoju na lewo, pochem mówi do Leonory] Hochana Leonoro, ależ i obiecany kwiatek!

Leonora. [Zgodując.] Ach... czy byś miśro!... Matylda!

Matylda. [Wyplicając.] Mamo!

Scena VI

lii sami. Matylda.

Matylda. [Ruca się w objęcia matki.]

Leonora. Matylda karko moja!

[Pójdź im rekty. Do Leopolda.] A Pan, Panie Leopoldzie, nie wspomnij o nas, przychodź jak najwcześniej. Będziecie u Estery grać i śpiewać, ale ~~ja~~ nie „pisklung Helens” — Do widzenia!

Leopold. Przejdziesz pewnie. [Świsnąc jej na rekty.]

Hortensja. [Odechodząc; Leonora podprowadza ją ku drzwiom.]

Matylda. [Stysnęła słowa Hortensji, zaczęła z lekkim odzieniem gniewu abo „skubnąć kwiatki.”]

Scena VII

Ci sami, oprócz Hortensji.

Leopold. [Do Matyldy.] Pani, ~~Panna Matylda~~... gra naprawdę u nas i śpiewa od...

Matylda. [Oskubując dalej kwiatki i nie patrząc się na Leopolda.] Oczywiście, gram naprawdę gornój!

Sernegri. Jak to, gornój? O ile wiem, nauczyciel Pani, innego jest zdania.

Matylda. Mój nauczyciel muzyki jest stary i głuchy.

Leonora. [usmiechając się.] Ale... nie głuchy!

Leopold. Mówi mi, że Pani śpiewa cudownie!

Matylda [j. w.] Ja zupełnie nie śpiewam... Nie mam wcale głosu! Gdybym miała taki głos jak moja kuzynka Estera!... [Pójdź matce bukiecik.]
Kiwaj matko!

Leonora. Tak go abskubataś!

Matylda. Pójdźmy do ogrodu, uniejsz namie inny bukiecik.

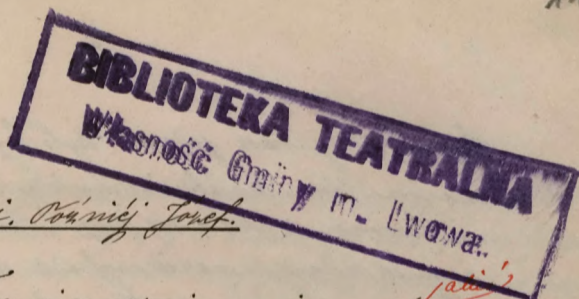
Leonora. Dobrze, idźmy, pójdźmy do ogrodu.

Leopold. Będzie Panu towarzyszył i do furtyki.

Leonora. Wychwyc Panu. — Do widzenia bracie... Panie Pan odjedźcie, aechciej wstąpić na chwilkę do ogrodu.

Sernegri. [Kłaniając się.] I mi też chciej! [Leonora, Matylda i Leopold, odchodząc.]

Scena VIII.



Robert. Lernegrri. Potniję Josef.

Robert. Zolaczynsky cię, domysliłem się zaraz, że musisz mieć ^{jaś} interes! Będę
pomodu, byt byś a pewności ^(do nas) (nie pomyślał ~~domu~~.....

Lernegrri. Imię moje twój iony, byt by i tym razem zastalonym powodem.

Robert. Lichwa mek, co cię mogło skłonić do pamiętania o nich?

Lernegrri. Proszę cię, powiedz, czy następnym wiecu siemnaście lat, na po-
dobny ~~warunki~~?

Robert. Masa rajs! Ale coś robisz, kiedy myśl ta przesładuje mnie usta,
wiecznie.... Tę to ludzi ulegających się o moją przyjaźń wówczas, kiedy
by jeszcze byłem kawalerem, przesłatać unac' mnie od czasu, jak się oie
mitem? Nie radzi mi to wprawdzie... gdyż unam świat; nie przy-
fuszkałem jednak, kiedy ty, jedyny, mój przyjaciel i kolega ożalony,
który w dodatku tak ważny odegrał rolę w sprawie mego małżeństwa,
mogł o mnie ^{zapomniać} (zapomnieć). Od czasu, jak wróciłem do Wiednia, widzieliśmy
się tylko raz jeden. Postępowania takiego, nie nauczyłem przecież przyjaźni?

Lernegrri. Polowicie! Nie spodziewałem się tego ostrakizacji!

Robert. Wybac! Jestem w tym humorze.... Apier Leonora, pruje mi wszystko,
nie syki! Tępnym mi, Andrzej, skoro tylko dowiedział się, że niespodzianka,
ha, jakże samierzytęm sprawił Leonora na imię moje, polega w sprawach,
nie Matyldy, powzięt natychmiast myśl urządzania balu w naszej willi
w Kalespeli, i reprezentowania na nim naszych córek. Pomyśl, bardzo mi
się podobać, chociaż powiedziałem mu z góry, że nie wiem jak się mań na-
fialtrwać bydzie moja siona. Uspokoił mnie jednak tem, że jest to my-
ś, a jednak mój kłopot i Leonora a pewnościz zgodzi się na wszystko. Pośliszmy
natychmiast do pani Lafraise zamówić tualety, rozestaliśmy wspólnie
zaproszenia, tymczasem siona moja....

Lernegrri. Spadas, że tym razem zgodzi się nieawodnie.

Robert. Trzymasz jednak, było by fatalnie, gdyby się nie zgodziła! Naproszę
nie roztępane, talety namówione... Sam nie wiem, co teraz robić! Spracinił
się Leonore nie chce i nie mogę! Mówię Hortensji, żeby się naradziła z mą
kiem co w danym razie wyprawa uczynić!... Ale chcieliby mi coś powieścić?
Lernegri. Nowinę... i to i dobre...

Robert. Co takiego?

Lernegri. Otrzymałem list od twego syna!

Robert. Z Szalkuty?

Lernegri. Nie z Lues.

Robert. Jak to? z Lues? Kija, Palma "nie dożył" do Szalkuty?

Lernegri. Postaciuj. — Zapewne czytając w dziennikach o wypadku, jaki
spotkał "Prometeusza" w zatoce Włoskiej. Pisano nie się rozbili, a cała
zatoza ratonęła. —

Robert. Tak jest i co dalej?

Lernegri. Albo dzisiaj nademtyś swięte wiadomości, Zatoza uratowana i
przysła na pokład "Palmy."

Robert. Czy by Wiktor, ratując rabbitów. Włóst jakiemu niebezpieczeństwu?...

Lernegri. Bynajmniej. Przeciwnie, trzymał się dzielnie!

Robert. A więc coś takiego?

Lernegri. Słuchaj dalej — Rozumie się samo przez się, że nieszczęśliwi pasażerowie,
"Prometeusza", przysięgli byli wdziękawości dla wybawców, szczególnie
zasława Wiktora, który podjął ratunek, odznaczając się wielką odwagą i
inną krwawą...

Robert. To po malce...

Lernegri. Między pasażerami było także kilka przedstawicieli pięciopiętnię!
Ma się rozumieć, że entuzjazm dla wybawcy wznaga się niestęchanie, jeżeli
tym wybawcą jest młody, przystojny mężczyzna, syjący od kilku miesięcy
swoją na morzu... a wybraną młoda, piękna kobieta... Troszę syn
twój nie jest Ulisesem... nie umie oprzeć się pokusom syreny... Troszę na
pokładzie "Palmy", nie było zapewne maski, do kłótni uwodzącej...

Robert. Wiśc nakochał się!

Sernegri. Na nabię! Prochilki! prosiłali na prokuratorie "Volny" aż do najbliższej stacji. Tam przenieśli się na okręt pływający do Sues. Swoji syn przepłynął w ciągu trzech dni, kilka set mil w towarzystwie swojej pięknej syreny. A co najgorsze, w krótkim tym czasie, serce jego abyło takie forsonna podróż....

Robert. A ta kobieta, to syrena?

Sernegri. Najgorszego gatunku, jedna z tych, co to umieją w przeciągu dwóch lub trzech godzin, nawrócić głowę, najdziwniejszemu nawet mężczyźnie! Oni wpu-
abrał sobie słońce ha młodego, odwanego jej na prastus, przez trzy dni—!

Robert. Boże!... Co się stało? Co zrobił?

Sernegri. Prosił... nic nie zrobił. Prosił tylko telegraficznie jednego ze swych przyjaciół w Neapolu, ażeby natychmiast wysłał do niego Depresz zawierający o wiadomości o walnych rajściach familijskich wymagających bezwłocznego powrotu do Neapolu. Kapitan okrutnie wiedząc, z jakiej rodziny syn twój po-
chodzi, dał mu urlop. Pisał także pojmiem! Syrena przybyła wczoraj do Neapolu i stanęła w hotelu angielskim. Wiktor przyjedzie jutro wieczorem! Symmasena kazał wręczyć ci ten oto listek!

Robert. [Przyciska się wzdychając na kark, bierze list nie mówiąc ani słowa, otwiera go, rzuca kopertę na ziemię i czyta. Jedną ręką zakrywa sobie oczy.]
Pisze, że wie dobrze jaka boleść mi sprawi, dlatego błaga o przebaczenie namim jeszcze kobacki się ze mną. Pomiada, że jakas' nieprzepraszana siła nim rządzi.... prosi o kilka słów odpowiedzi, ażeby mógł zabrać otuchy, do sta-
wienia się przed nami. — [Złaził list i zakrył mu go w rękę] Co straszne!
straszne!

Sernegri. Zwycię mi się, że skoro przyjedzie do Neapolu — miłoś' jego do-
rodziów skłoni go.....

Robert. Niedźna Leonora! — A ta panna? Jak się nazywa?

Sernegri. Emma.

Robert. A naawisko?

Sernegri. Emma!

Robert. Pracień to nie nawisło? Czyli nie miała nawisła?

Sernegri. Na ich tyle, że można wybierać według gustu. Ale skłoniła na „mywa się, Emma Stuart. Stuartowie — to bardzo piękna rodzina!”

Robert. Wdowa czy panna?

Sernegri. Czy jest wdowa? Nie wiem. — Panna — pewnie nie!

Robert. Wiktor opuszcza natem szkołę i wraca do domu! —

Sernegri. Wrażnie odrzuć niechęć waszą, na przykład matczyński: —

Robert [wzburzony]. Ach!... Ale skoro macie wścieć awaryjować, przynajmniej ja mam zdrowe umysły.....

Sernegri. Pominieś skazać się nieuczciwemu! —

Robert. O! tak. Nieuczciwemu!....

Sernegri. Tym razem, nie możesz ustąpić!....

Robert [nagle myślą uderzony]. Boże! Jeżeli ta syrena... lub który z pasażerów... Boże, Boże! Jeśli to moje wiedzieć co się tam stać mogło! Jeżeli Wiktor dowiedziat się, że i ja takie... jeżeli powołując się będąc na mnie, na przykłąd, jaki mu dajem!

Sernegri. O to, bądź spokojny! Wiktor z jego listu, że nie wie o niczem!

Robert. Na samą myśl że matka jego, ta święta kobieta, mogła by, jeszcze teraz, po tylu cierpieniach... Boże! Mój Boże!

Jożef [wchodzi z listem]. O to mój margrabiego Admę. [Widuje list Roberta i odchodzi.]

Robert. [Kładzie list syna na stole, bierze list od Jożefa i mówi do Sernegri]. Rozwiń, że przeczytam. — [Czyta.] Szanowny mój piase mi intasnie: [Czyta głośno] „Gdyby Leonora oparta się stanowczo, Hortensja, jako ciotka, mogłaby wprowadzić córkę swoją na bal i zaprezentować ją towarzystwu. Hortensja przysłała raz do was i powiadomiła swoją siostrę, o nowym projekcie. Jest to jedyny sposób wyjścia z przykrej sytuacji.” [Kładzie list do koperty i chowa do kieszeni.] Projekt nie łączy! Ale co powie Leonora?....

2t.

Scena IX.Lił sami. Leonora. Matylwa.

Leonora. [wchodząc.] Wracamy ze spaceru. [Spóźnionego wzruszenie u Robertas] Co ci jest, Robertcie?... Panie hrabio! Co się stało memu mesionowi?... Ale i Pan, jak widzę, waburnony?

Robert. Przystaje i przybiera dawno, chłodną mizę.] Nic.... nic zgoda!

Sernegri. Stęczywiście, nie nam nie jest, Pani margralino! [Do siebie do Roberta.] Spragnij się stotą list Viktora!

Robert. [bierze list i chowa go spiesznie do kieszeni.]

Leonora. [widzi to i pręknęła jakas tajemnice.]

Matylwa. Co ci takiego, Kochany, ajne?

Leonora. [z udanym spokojem.] Nic naprzykrzaj się ajne, moje dzieci! kłóci cię często na łół głowy.... ale to przajnie.... Widzisz jak mija! Toż dżako do pójcia i przagotuj miły. Ja tam zaraz przajję.

Matylwa. [Do Roberta.] Robi się jeszcze głoowa, mój ajne?

Robert. Już mi dobrze. [Matylwa odchodzi.]

Scena XLeonora. Robert. Sernegri.

Leonora. [energicznie.] Nie sódzicie, że ^{uważa} się wam ^{uważa} asukać mnie! Co się tu dzieje?

Sernegri. [spiesznie.] Doprawdy.... nic ważnego, Pani margralino! Robert namierzał prosić Panis o coś.... i bał się odmowy. —

Leonora. [ze smutkiem] Kochany Robertcie! Nie bierz znova tej sprawy, tak tragicznie! Jest ona wprawdzie ważna, ale znova nie w tym stopniu, żebyśmy się martwić się miata. Widzisz, że ci chodzi o mnie, lecz jednak spójnij! Abonując matki spójnij mienowicie! Pomówiwszy spokojnie o tym liście, który z takim furciechem schowateś do kieszeni a furcieczystkiem

nie trac' humoru i odwagi.

Robert [wskiwiony] Jak to? Kije xnasz tresi' tego listu?

Leonora. Inam i frons cis, Iaj mi go, Lania ofiss!

Robert. Ah! Leonardo!

Leonora. Taj go, Taj... Ogi by trojja Leonora, me miata jai, nadozania u iselio?

Robert. Co mám volat? [Hýčing a lsb u klesacem.] Mě potrafiš si domnívat....
 Tráť u mím se si sis podobá. [Děje jěj lsb.]

Sernogri. [z powiększeniem.] Proszę Panią pamiątać, czy mała
wiedzi, kto Panią uwiadomił o treści tego listu?

Leonora. Słixi by inny, jak nie Hortensja. Przed chwilą wróciła u to samej prosi-
szyć, jaką historię podać Andrzej!

Robert. Hortensja! [Robert i Sernegri domysliło się nieporozumienie.]

Leonora. Tak jest, Hortensja! Opowiedziata mi takie o kamienionych tarletach,
rozkosznych naproszeniach, stowem o wszystkim!

Sornegri. Histocie.... ale list ten...

Robert i Bernegri [staraja sis uroscanie dobrać list, ktory Hortensja trzymala w rękach]

Honora. Nie bijcie się. Póki, nie chcieliś wolałabym żeby mi się mił, nie był to „
licywart, to jednak przyznaniem obowiązku mi nie i dla tego córka nasza będzie
jutro na balu. Będzie ręką nie mogę, gdyż byłko z matką pójść mi nie. Panna je
zapreken tuż!

Pernegri. Postonale. [Stara sig. debrac' list.]

Robert. Bo to miżnik... ten list [Stara się go odebrać.]

Leonora. [pokrzymawszy ramiona, patrząc na nich i stając się cichszą w ich twarzach.]
Co to śmiesz? Co wam chodzi? Jak widas, chcecie mi odebrać list! Czyż bym się
miała mylić?

Robert i Lennoci. [trajem, a pos'pachem.] Bron' Boie... alei nie... — Synajmnič'!

Leonora. [Spieszcza na niego, kopertę i nakrywa ją rękawic.] Widz, nie musi tu być jakiś nieporozumienie. Alboś niebył listu tego nie czytała? Kżes go oddać. [Wdaje list Robertowi.]

Robert [bierne list u pros'picchem] Alex bynajmniš.... vyliša sis! Nie ma u nim

nie takiego, czego byś nie wiedziała.....

Leonora. [Przezywa, chcąc go wybanować i kłopotu.] Tak więc, chcesz sam odpisać? Dobrze! Tęsa już teraz co postanowiliam... wreszcie mówiliam już i Hortensję.....

Sernegri. [Wpatrywając się na Leonorę podziwując.]

Robert. Dobrze.... odpisać!

Leonora. Ale odpisać karak!

Robert. Już idź. [Ochodząc na prawo.]

Scena XI.

Leonora. Sernegri. pośpiesz.

Leonora. [Po wyjściu Roberta kopertę, przypatrując się jej z uwagą, a po przeczytaniu piśma, stara się utrzymać niepokój, jakby ją ogarnia; siada wreszcie na krześle i mówi.] Nigdy! Pó, Pónie krabio!

Sernegri. [na stronie.] Domyśla się!

Leonora. [usiłując być swobodną i wesołą.] Prawda, że to był list od Wiktora?

Sernegri. Pónie Pónie... przeciwnie...

Leonora. [pokazując mu kopertę, z bolesnym uśmiechem.] Wzrostem go pisze... i znam jego piśmo!

Sernegri. [zakłopotany, nie wie co odpowiedzieć.]

Leonora. [z uwagą wesołością.] Pónie.... chory?

Sernegri. Nie Pónie margrabino! Ożen się stowem honorem!

Leonora. Na kopercie nie ma otwora pisałowego! Kto przyniósł list?

Sernegri. Ja sam. Dotychczas był do listu, pisanego do mnie!

Leonora. Powie mi Pónie teraz otwarcie, jakie zawiera wiadomości!

Sernegri. Syn Pónie pisze, że sprzyjła mu się służba okrytowa....

Leonora. Chce więc powrócić?

Sernegri. Tak jest.

Leonora. I mój tak się wrytował tę wiadomości?

Sernegri. To jest... chodzi mu głównie o Panią. Zależy mu się, żeby nie Pani, uwieczniając powrót Viktora, na przedmieszanym... — ze względu na....

Leonora. [Swymyśla, że Sernegri smutni; wstaje i mówi z ponurnym spokojem.] Ach... rozumiem!

Sernegri. [Wstaje.] Jakże się Pani kapatuje na ^{to} sprawę?

Leonora. Ha! Głęboko rozchadziło się o to....

Sernegri. A o co innego?

Leonora. Nic mówmy lepiej o kim! — Chciałabym Pana prosić o pewne rzeczy, nicnia....

Sernegri. Jestem na rozkazy!

Leonora. Dotykać one pewnie dany... mierażającą od niedawna w hotelu angielskim. Pisata. Prześlij do mnie....

Sernegri. Dama?

Leonora. Włoszka — nie wiem. Nazywa się Emma Stuart. [Wymawia, jak nakwisko, patrzy szybko w stronę braci.]

Sernegri. [Mocno zmięszany.] Emma Stuart!

Leonora. Wiże mi się, że Pan możesz mi udzielić wszelkich informacji....

Sernegri. Pisata do Pani?

Leonora. [Wzrywa się z kieszonki list i pokazuje braciemu, która ma powrót.]

Kosi mnie o swiętą rozmowę w sprawie.... bardzo ważnej. [Obserwując cicho wielce kaniopokojonego brata.] Któż to... Kochanka mego syna? Nieprawdaż?

Sernegri. [Zmięszany.] Pani margrabina....

Leonora. [Zarywając się nagle.] Coś! Czyby miała już być jego żoną?

Sernegri. [z pospiechem.] Nie! Pani margrabina! Jeszcze nie.... Ale Wiktor wraca jutro do Neapolu i właśnie chce.... prosić....

Leonora. Pienię się z nią?

Sernegri. Tak jest.

Leonora. Jeżeli nie ożenił się jeszcze... w takim razie nie wszystko stracone. [Damon i przyspiesza szybko do biurka.]

Sernegri. [Widząc na nią, wielce kaniopokojony.] Powoli Pani margrabina, że

sis jej napyltem.....

Leonora. Plesz Pan wiedzieć w zamiarach uczynić? Teraz się Pan dowiesz!
[Wchodzi.] «Laskowa Pani! Z powodu przyjazdu moich dzieci, nie mogę równo
wieć się z Panią ani dzisiaj, ani jutro. Chciał być na Panis pojutrze o godzinie drugiej?»

Leonora Bernasco.—

Lernegri. Pani chce wiedzieć się o tę kobietę?

Leonora. [Przycisnęła list.] Nie mogę postąpić inaczej. Perfumowany listek tej
piani, co mi nadesła zamiast paczki. Pomyśl Pan, co by to było, gdybym jej nie
przyjął. [Do wchodzącego Józefa] Póć ten list natychmiast.

Józef. [Bierze list i odchodzi.]

Leonora. [Do bratniego.] Sygnaj Pan zdrow, Panie bratnio! Znajduję się obecnie
w przedwzięciu strasliwej walki, walki wymagającej całej przytomności
umysłu i wielkiej odwagi. Poznam Pana. [Podaje mu rękę.]

Lernegri. [Łapie ją w rękę.] Poznam Panią, Pani margrabina. [Do siebie.]
Droga kobieta! Droga matka! [Odchodzi.]

Scena XII

Leonora. [sama.] Znowa prokasz się światu.... To była latach! Z córką!
Dzie! Mój Dzie! Syn mój wraca z nieszczęsną miłością w sercu.... A ta
kobieta.... wie może o wyzłwie! [Odchodzi z wolna.] Odwagi! Odwa-
gi! Idźmy do córki!—

Akt II.Boгато urządzony salon.

Wszystkie przedmioty w widoku na ogród. Tu i tam, stoją krzesła i fotele różnej wielkości. Z obu stron, prowadzą ławne drzwi do ekspozycji siennic, nych salonów. —

Scena I.

Panie i panowie w strojach balowych siedzą i rozmawiają ze sobą. Niektórzy goście wychodzą, inni znova wychodzą, a wszyscy są rozmowni. Z prawej strony ukazują się Lernegri i księżna Lambini. Spotykają się na środku salonu.

Lernegri. Co widzisz? Księżno!

Księżna. Ach to Pan, Panie bratko?

Lernegri. Witamy, witamy.

Księżna. Właśnie chwila tu przyszedłem..... u całej gromady gości i witać nie sta-
ratem się. — e... e.....

Lernegri. Spotkać mnie?

Księżna. Tak jest, myślałam, że Pan. Przewidywałam, że Pan, Panie bra-
tko, podziękować za....

Lernegri. Ależ nie ma za co! — Właśnie miałem zamiar sporządzić spis neapolitańskijszej szlachty. W tym celu zebrałem bardzo wiele materiału, a przede-
wszystkiem genealogiczne margrabiów Permanso miałem u siebie, to też kana-
tem je porządkować i pisać księgi do druku.

Księżna. Wasmój pracy ostatkiem jest tam.... bo trzeba Panu wiedzieć, że przy-
jemnym są... Księżno oddał mi je natychmiast... Chce wydać stonik
włoskich włojskich rodzin arystokratycznych. O wykorzystaniu mi przez
Pana spisać, nie ma jednak odpowiedni kłopot nakładów do wydania Per-
manso.

Lernegri [obojętnie]. Zawszem, że nie będzie potrzebnym księgi. — Jakich
księgi odnośnie wrażeń i podróży.

Thiagie. Nadmyszajne, nadmyszajne — e... e... e — bo to trzeba Panu nie „
Thiagie.... taki stary parafianin jak ja.... miewa — e — e wyobrażenia i pojcia e — e —
Sernegri. Nicco przedawnione.

Thiagie. Tak jest, nieco przestarzałe!... Urodziłem się, wyrosłem i zestarzałem
 w Mantuy.... Branda... że na młodo było się takie... ale to już tak dawno
 temu, że zapominałem..... Wyobraź Pan sobie, że od lat czterdziestu, a nawet więcej,
 zicsta fujciu, nie myślałem dalej, jak do — e... e....

Sernegri. Herony?

Thiagie. Tak jest, do Legnano; nam tam....

Sernegri. Wielkie dobro.

Thiagie. Tak jest, samok! — Tymczasem teraz widzę nagle — e — e — niepoł,
 kółka, Keszynjusz, Dym — e — e, piękności natury... Wszak prawda że to — e — e — e.

Sernegri. Zapewne! [Na stronie] Ale to okropny cztowiek! Lini jednego zdania nie
 kończy!

Thiagie. Wreszcie i ta willa księżca, bal wspamiaty — e — e....

Sernegri. Thiagie musisz być zdziwiony różnicą, jaka zachodzi między teraźni,
 niższością a przeszłością.

Thiagie. Pod wieloma względami — e — e — nie inaczej — e — e — wielką różnicą! Np.:
 na moich czasach tanczono — e — e — e — inaczej — e — e — więcej prowagi!

Sernegri. Nie było, ulubionego Thiagiej walca, w którym paręciśka się tańcowało,
 aż do słońca.

Thiagie. Dywaty i takie tańce — e — e — lubiliśmy je — e — e — bardzo! Ale
 wracając do rodowodu kobiet u Domu Cermano —

Sernegri. Cóż porabia siostrzenice księżca, porucznik Leopold?

Thiagie. Był Thiagiej rano na kole, ale musiał mnie opuścić z powodu
 musztry. Powinien być niezadługo nadejść. Cóż wracając do rodowodu —

Sernegri. By księżca widział już naszych gospodarzy?

Thiagie. Właśnie mi się wspominałem już Panu — e — e — e — że wreszcie do
 salonu rano u całej gromady gości i w końcu szałatem Pana — e — e — e — chcąc
 go prosić — e — e — e — kłepi' mnie przedstawić — e — e — e....

I. Dama. [zbliżając się do braliego Sernegri.] Dobrywiecior bratio.
Sernegri. Oa! Donna Laura! Dobrywiecior!

Isigie. [sufa się o krok, ułtoniwszy się poprawnie i lekko.]

I. Dama. Prawda, nie bał wyformiaty?

Sernegri. Kaczuwicie wspaniały. Mamy tu nawet gości, przybyły tych oś
i Mantuy! — Nie prawdzi? Isigie?

Isigie. [sufa się, i potwierdza lekkim skinieniem głowy.]

I. Dama. [nie dowiedziawszy się.] Ai i Mantuy?

Sernegri. Dawać panu funkcjonam — [przedstawiając Isigie.] Isigie, Lambini
Donzaga, przybyły umyślnie na bal Isigie'sy ai i Mantuy. — Ktoś prawda?

Isigie. [Potakując głową.] Najmniejszego.

Sernegri. [Do Isigie.] Donna Laura Montalbano.

Isigie. [ciszą się niecierpliwie e-e-e... i kaszle] —

I. Dama. Dobra mi przyjemnie poznać! [Do braliego Sernegri.] Oj pan
na to? Oj panu Sernanso, w chodzą odrazu w świat, wielką bramy!...
by nie za wielką trochę — aby podobna do tego tryumfalnego! — Ktoś
tego nie chwali!

Isigie. [starając się ukryć ciekawość.] Panienko, [e-e-e] na pewno bardzo ładna?
... co?

I. Dama. Ładne, nie powiem... ale miłe, ugrabne, i pomysłowy thiem bar-
dzo bogate.

Isigie. Muszę być na pewno niesmiłe... bo to e-e-e — miłość... e-e-e —
prosto i pensji... e-e-

I. Dama. Oj pan! nie są one bynajmniej niesmiłe; wstasera jedna...
i też nie może być inaczej; skoro wróciła i takich pensji, gdzie zupełnie nie dba
o wychowanie. — Trzeci i matka... — Dość powiedzieć, panienka ma
bardzo ale skłonności. O, o! Nie chwali! —

Sernegri. [starając się Isigie wytłumaczyć.] Matka jej, kochająca bardzo mat-
ka, należy do najmiłszych i najdobrejszych dam, naszego towarzystwa.

I. Dama. Druga panna Sernanso, odebrała wychowanie może należy klasztoru

nego takie nie chwał. Mite, dobre dziecko, ale wygląda... jakie mam powiedzieć? — Jak zachowuje.

Sernegri. Była tylko kilka miesięcy na penji; wreszcie powstawała ciągle pod okiem matki, która ją wykładała w mury i jasybach.

Isigie. A a! Horowa kobieta!

I Dama. [Truźna braliego ukazując spojrzenie, pośnij w lepiński oczy w wachlan, mówi.] Tak!... Bardzo młode!...

Sernegri. [j. w.] Bracie kieszia miedzić, że prowadzita ranoż życie osobno, nie, zaiste tylko murem, dricomi...

Isigie. To istna mymiska... Pewnie już nie młoda?

Sernegri. Precywnie! Hele jeszcze młoda i bardzo ładna.

I Dama. Młoda? Syn jej ma 24, czy 25 lat.

Sernegri. Za furawaniem! Wiktory były dopiero 19 lat, a matka jego miała w chwili, kiedy przyszedł na świat, lat 16. A matkę rachunek bardzo łatwy 16 + 19 = 35...

I Dama. Tak, tak, ja też tak rachuję. Mniej więcej 39, 40.

Sernegri. [usmiecha się ironicznie.] Precywiście...

I Dama. A ożymat Don o tem, że jedynak matkę nie przyjdzie dzisiaj wrócić, a cóżby oddać pod opiekę ciotki... Nie chwał!

Sernegri. Ale Panią poinformowano.

I Dama. Jakto? Kto poinformowano? [Odwraca się i przywołuje jednego z panów.] Don Giovanni!

I Gość. Pani roznika?

I Dama. Czy nie powiedzieliście mi Pan przed chwilą, że Panu Vermanso, prezydentowi dzisiaj towarzystwu ciotka jej, a powodem że jej matka nie przyjdzie?

I Gość. Tak jest. Mówił mi o tem Don Vitelli. [Do jednego z gości.] Hele prawda Don Vitelli, to Pan mi mówił, że margrabina Vermanso, reprezentując dzisiaj siostrę i siostrzeńcę?

II Gość. Wistocie, podobno matka jej, nie będzie na balu... Zaraz... Kto mi to mówił? [Odwraca się do dwóch panów, siedzących w publicum.]

III Dama. Ну, udzielił mi Pan tej wiadomości.

III Dama. A nam nakomunikowała nam Donna Laura. [Wskazuje wachlarzem na pierwszą damę. Trzecie i Sernegri spoglądają na siebie znacząco i starają się stłumić śmiech.]

I Dama. [Zmieszana.] Idźcie, to będa. — Ale konie koniów, chciałyby wiedzieć, czy przyjdzie, czy nie.

Sernegri. Twierdza rozniekana. [Spoglądając ku drzwiom.] Do ręki nie obieracie matki, mchodzą & córkami.

I Dama. Nic chwaleb! Gdyby była niedziela, nie jęj matka tu będzie, byta bym & przewiesić nie przysła

II Dama. Jesteś Pani nieubłagana.

I Dama. Tak jest jestem nieubłagana. ... Przepraszam, lekkość — niebaczam. ... Wprawdzie ich nie chwaleb, ale jeżeli się zachowuje decorum i nie wali skrawka, wtedy wolno mi o nich nie wiedzieć. W tym jednak wypraska, przesłotić jest tak fatalna. ... i nie da się zmuszać nikim — nawet — prosił biem — cesarza Justyniana. [Wychodzi pod rękę & pierwszą gościć. Druga i trzecia dama śmieją się.]

Sernegri. [m. str.] Do kucia. [Na czasów kucia, nie było zapewne takich płatk, ręk?

Trzecie. [Zaniepokojony.] Jak czasem. [Do siebie.] Donna Justyniana?! O! O!

II Dama. Stworzono, że dwójka był na mić na celu doprowadzenie do skutku dawnego projektowanego matienstwa?

Trzecie. [Do siebie.] Stuchajmy!

Sernegri. Jak to? Matienstwa?

II Dama. Jest to jeszcze na razie tajemnica, dowiedziatun się o niej & jak najlepszego krowta. ... [Księżcy stuchają & cichawo śmieją.] Korak nacie Państwo wszyscy, nauczyciela muzyki Quintiniego? tego pomyślnego blondyna ...

III Dama. To mój nauczyciel.

II Dama. T mój także. Ale mój także mungralins Hortensy. — O! odprawa wirowo go w tym miesiącu, & powadzi projektowanego matienstwa.

II Dama. Ony uczył także i wódy?

II Dama. Naturalnie! Uczył się dwa pokolenia Gminy m. Lwowa.
II Gosi. A może przechodził i matki na córki, jak on stary wachlarz Lebruna.
Sernegri. [na str. do księcia.] Iha czasów księcia, nie robiono takich powątpieżeń?
Książe. [na str.] Jak czasem.

Sernegri. Przyznam się panu, że nie rozumiem! Wprowadzić nauczyciela muryki? Dlatego, że Panna mogła być murek? Nie?...
II Dama. Daje się, że nie strachu przed jakimś diadkiem, ojcem czy wujem, który ma być słońcem bardzo surowych dyscyplin. Coś w rodzaju sakra, czy czy fatygardu.... W każdym razie musi to być jednak jakiś kultyk przesady, sięgający czasów starożytności... Hyobrah! Pan solie... Mantag.

Książe. [porusza się niespokojnie.]
Sernegri. [Do siebie.] Jam do diabła! Witałby o nim mówić?... Ciekawe rodowody!
III Dama. Przyjrzę się raz w księce, przez Mantag, ale nie widziałam tam nic, prócz wody, murów, fortyfikacji, wież i mnóstwa wróblek....
II Gosi. Księgi, pełno fortyfikacji i wróblek. [Śmieje się.]

Sernegri. [z irytacją, chce wtrącić się do rozmowy.]

Książe. [Daje mu znak, żeby studiował dalej.]
II Dama. Satripa należy do bardzo starej szlachty i ma być niezmierznie bogaty. W lat 80 iu, nie robi nic innego, tylko kłiera picinadek. —
Książe. [spokojnie i z uśmiechem.] Wziąwszy z siebie obaleniści, donosiłam się o kimś panu twojemu. Daje mi się, że jak na teraz, nie może być mowa o naktieristwie. Jeżeli by jednak przynajmniej przyszedł do skutku, to przyznać panu, że odprawienie nauczyciela muryki, nie było by tak wielką afing....

II Dama. Właśnie Pan wie?...
Książe. [Do bratniego.] Bóg! Pan takaw przedstawić mi!

Sernegri. [przedstawiając.] Książe Lambriani Gantaga!

Książe. [bardzo spokojnie i grzecznie.] Mantag. [Zauważanie.] Ależ proszę, Constanta, to jest bardzo naturalna. Skoro się mieszka w wielkim mieście, nie można nie...

II Dama. Właśnie Pan wie?...
Książe. [Do bratniego.] Bóg! Pan takaw przedstawić mi!

Sernegri. [przedstawiając.] Książe Lambriani Gantaga!

Książe. [bardzo spokojnie i grzecznie.] Mantag. [Zauważanie.] Ależ proszę, Constanta, to jest bardzo naturalna. Skoro się mieszka w wielkim mieście, nie można nie...

śmiać się z małych niesłuszek!

Sernegri. [wzrost:] Głale się już nie żaka!

Thisjare. [ż. w.] Donajcie wiastwo, że się aż mielitem wtrącić do waszej rozmowy, ale myślnajś szacere, jestem przyjaciółm owego patriarchy. Chocim to prawnym i kanonowym; a myś ludnie prawi i honorowi, chociaż należymy do kalythów starego testamentu, i nie posiadamy iskrycego donajacu i kisięjosej młodaiczej, umiemy jednak bronić się nawzajem i xgdać od ludzi szacunku. [Do II. gościa:] Tnij Panie! Za murich ceraso budowano fortyfikacje w obronie gępyj... i x się naturalnie, śmiejecie się z nich.... [Kłania się lordowi greckiemu, kiemc Sernegri pod rękę i cofając się w tył sceny, mowi:] Prawda kochany bracie, że.... lekujka - e - e - e -... wcale dobra, toż? [Wzruszy ręką i powie:] Wszakże gestykulując i rozmawiając między sobą. Skoro doszli do tyłu sceny, kisię i Sernegri powracają.]

Sernegri. Powiadają, że mierz, o których nie miałem wyobrażenia!

Thisjare. Pojmujesz Pan, że futuralszys wiastwój... e... e... przyjakim... e... e... w celu abrymania... pewnych... e... e... e... e...

Sernegri. Wiadomości?

Thisjare. Tak jest, pewnych wyjaśnień! A teraz spowiem Panu wszystko! Przyletłem do Neapolu, w sprawie mego siostrzeńca. Prosił mnie o zezwolenie na krótkie wycieczki i pisał, że wybrana jest panna Pernuanso. Należy do starzej szlacheckiej rodziny i jest bardzo bogata. Tęsz Pan moje powołanie i nasady, i wiem dobrze, że w sprawach rodzinnych, a zwłaszcza gdzie chodzi o młodość i spadkobiercy mego nakazem, jestem nieubłagany i żadnym kompromisem nie znam. Najlepiej dowodem, że traktuję sprawę serio, jest to okoliczność, że przyjechałem sam do Neapolu w celu zbadania rodu i kłopoty Pernuanso. Nie ukłękam się ani przed nią, ani nie pytam, ani wreszcie xmiamy dotychczasowego życia. Kłopot mi nie, to wiele xnaay! Dotychczas przedstawiała mi się sprawa jak najlepsza, do

sięro rozmowa z tą Janus o - e - e - e... takiej - e - e - e... siostrze cesarza Justyniana, na... e... e... e... strasna rozmowa! Bo ta wielka Pan siostra Justyniana wcale nie była patyczkowską, to jest, była raczej - e - e - e - niepatyczkowską i wi-
 Jaki, nie jedna z margrabin Permanso - e - e - e - wsi... tego... hm... nieprawda?
Sernegri. Dokładnie. Jestem jednak szczerym przyjacielem rodziny Permanso, a
 tym mógł być bestronnym sędzią...

Księż. Za pozwoleniem. Nie chodzi tu o sąd Panski, ale o fakty... o to, czy jedna
 z margrabin jest rzeczywiście margrabiną, czy też tak - e - e - e - siostrą Justyniana,
 na. Do jejeli wybrana moga siostrzenica, jest właśnie córka - e - e - e - takiej - e -
 e - Justynianowej, to pojmiesz Pan Tatwo, że nie pragnę wcale, dostąpić nasroy,
 tu z powiniowacenia się - e - e - e - z rzymskim cesarzem.

Sernegri. Siostrzenica księcia, nie mówi mi nigdy, że pragnie ożenić się
 z panem Permanso, to też tym mniej mogą niedzieć, ~~która~~ a mój przybrat.

Księż. Hrabio Sernegri! Wybył miat syna, albo siostrzenica i znajdował się
 w moim położeniu, a ja jeden tylko, mógł być udzielić ci rady —

Sernegri. [Przerwywając.] W takim razie powiadział byś mi księżu z pewnością:
 « idź pozmaj te osioły i ogień sam. »

Księż. [Zrozumując go.] Aha!... Dziękuję Panu. [Ścisła go za rękę.]

Sernegri. Właśnie nadchodzą, Przechodzą księcia, [Wskazuje na niego.] a blednie
 księżu, ^{mięt} rozprawy stądja natychmiast.

Scena II

lii sami. Leonora. Hortensja. [Względy widzi wchodzących i wychodzących gości.]

Hortensja. [Idąc str. do Leonory.] Powiedz mi Leonoro, dla czego zawsze wychodź
 z salona?

Leonora. [Swobodnie.] Kieruję tam z tego, że moja córka kawi się z górami i przy-
 jaciółkami i umi kam gorąca.

Sernegri. [Zachodząc jej nastronie.] Biedna Leonora, widzę wesołą... tymczasem
 sem w sercu jej, szeleje hurka..... Księż głowę jeszcze dalej skłina do ognia. —

Hortensja [na str. do Leonory.] Widzisz, to pewno nie jakieś stryjaskie! —

Leonora. [na str.] Jak widasz, Sernegri ma zamiar przedstawić go nam. [Abliżają się do nich. Dwaj młodzi tancerze, abliżają się w tej chwili do Hortensji.]

I Tancerz. Pani margrabino! Teżeli tak, proszę o porządek tańców! —

II Tancerz. Nie, nie, Pani margrabino, ja pierwszy prositem.

I Tancerz. Wesołiśmy razem! —

II Tancerz. Proszę dość, ja pierwszy. [Sprawiają się ze sobą. Hortensja i Leonora, przystępują i śmieją się. Księżka obserwuje je, a Sernegri obserwuje księżkę.]

Hortensja [wracając do tancerzy.] Jacyście Panowie zabawni! Poluśta moje serce radość, że między dwoma wielbicielami, ale nigdy porządek tańców.... Z takich apory, trwa, ta się ugrabnie nymnigie. A więc puszcie mnie Panowie w latorę. Para czy nie para? [Śmieje się.]

Leonora. [Kłopotliwa i lekka głowa.]

Księżka. [na stronie do braliego.] Ah, hnu!....

Sernegri [nie odpowiada, tymczasem dwaj tancerze wstają „dobrze” i kamierają się na swoje gę.]

Leonora. Proszę Panów, ale jest nas tu dwie!

I Tancerz. [grzebanie.] Pan margrabia Robert mówił nam wstanie, że Pani ma, grabina nie tańczy...

II Tancerz. [tak samo.] Teżeli jednak Pani margrabina się przydać...

Leonora. Nie, dwójka. — Lekko mi nakłamać... Pomyślałam, że nie ma, ale tańczyć, stanowczo zabroniło. [Dwaj młodzi ludzie kłaniją się grzebanie.]

Księżka. [na str. do braliego.] Uha! To wcale co innego... Nie prawdaż?

I Tancerz. [Do drugiego.] Para czy nie para?

II Tancerz. Para.

I Tancerz. Wesołiśmy!

Hortensja. A teraz spiesz się Pan! [Ważąc mu porządek tańców. (Młodzi ludzie do chodzą. Hortensja i Leonora abliżają się do księżki i Sernegrego, którzy ku nim kamierają.)]

Sernegri. [Do Leonory.] Pomyślałam, że przedstawić sobie —

Leonora. [Z wielką dystynkcyą i uprzejmością.] Księża Lambini Gonzagas nie potrzebuje Pan przedstawiać. Siostrozeniec Jego, zapomniał nas już od dawna i księżem.....

Księża. [Kłopotuje się myślowitnie.] Ach!.... Zapewne - e - e - e - pokazywał fotografis.

Hortensja. Podmuchać nie podobna. Przynajmniej księcia D. rade.

Księża. Tak, tak, to robota bardzo ładnego fotografa.

Leonora. W samą miłą. Teraz widzę że mu się wcale nie udało.... Nim to ona, tam księcia Dobroć i częstych opowiadań Pana Leopolda. Nie miał nigdy do „syc” stów umiellenia, dla swego hochanego stryjaka.

Księża. [Zadowolony.] Pani margrabino - e - e - to za wiele Dobroci - e - e - e - [Spogląda na Sernegrego i ukontentowaniem.]

Hortensja. [Usmiecha się przytykając.] Czy księża uwierzy, że byłam w tych dniach w Mantui?

Księża. W Mantui?

Hortensja. Czytałam nowy roman, którego akcja odbywa się w Mantui. Jest tam także opis starego kamka, obrazów, rzeźb etc. Bardzo interesujące książki.

Sernegri. [Usmiechając się.] Czy to miały być one ostatnie „Trzy noce w Mantui”?

Hortensja. [Z fureksem.] Rzekawam, co Pan w niej widzi stego? Trochę realizmu! i nic więcej! Opięty tam lekkomyślny kolietz! Mój Boże, czy to wielkiego? Kasani trochę było koniecznie lekkomyślny!

Księża. [Kruca na brzołku wypowiadając spójnienie.] Drugi tancerze wchodzi i przegrywa, przegrywa tenisowos.

Hortensja. [Wesoło ale z smutną krytyką.] Ło! przegrywa się Panowie?

I. Tancerz. Tak jest Pani margrabino. Ja pierwszy.

II. Tancerz. A ja drugi.

Scena III

Oni sami. Robert i Andrzej wchodzi, a książka i Andrzej słodziej, bardzo grzeczni ale chłodni.

Leonora. [Do księcia] Mój mój! [Do Roberta] Książko Lambrini!

Flortensja. [Kartoteknie do księcia.] O to, mój poważy ale poważy Andrzej!

Andrzej. [Tonem dubitacyjnej rozmyślności.] Flortensjo!

Książka. [Spogląda na brata i kłania się ohydliwie.]

Robert. Lepsz się niezmierznie!

Andrzej. Bardzo mi przyjemnie. [Książka księcia na rękę.]

Książka. Jestem radeżwiścić niecierpliwym - e-e-e-e - znajomości i przepraszam nie przegryłem prosto na bal - e-e-e - miałaby powiedzieć że jestem no tej chwili podobny do księcia rozpoczynając się od drugiego rozdania.

Leonora. [Jasne niechając się wdziękami] Książko jesteś księżką niepotrzebną wrażeń przedmowy.

Flortensja. Ja bo me wyrostki w romansach swoichy widać opuszczam!

Książka. [Spogląda na brata.]

Robert. Moje księżki raczej się po salonach?

Książka. I przyjemności.

Andrzej. Ożdziemy mieć naszyt towarzyszyć księżce.

Książka. Pragnę być tym bardzo posnać - e-e-e - ohydnie - e-e-

Leonora. Wasze dzieci?

Pernegr. Pomy Comanso?

Książka. Jednost. Wtórne królów hala!

Leonora. Ożdziemy mieć naszyt przedstawić je księżce.

Flortensja. [z widziadłem przedstawić księżce.] Jest, skoro tylko - e-e-e - księżki raczej - e-e-e - porządek tutaj - e-e-e - a takimi jest sprowadzamy

Książka. [Kłopotliwie uważnie nie usiłując przedstawić, kłania się nisko i mówi do Flortensji.] Jaka Pani dobra! [Do Leonory.] Wdziękami Pani mroga, liur! [Wskazuje na nią na słowach „Pani mroga” i widać Leonorę w rękę, następnie mówi poważy do brata.] Wtórne lechuj - e-e-e - tej

Jasnym nowym; he? [Wchodzi na Robertem i Androjem] Dariusz piszący (e-e-e-e)
Robert Salon?

Andrzej Branszgeria?

Therapie. Tak jest, to botaniczna galeria. [Wchodzi.]

Scena IV.

Leonora. Hortensja. Sernegri.

Hortensja [Do Leonory, wzdychając i niespokojnie] Wcisnęła bym tego kiciu! Sprawit mi
 prawdziwą uciskę; nie cis swatować w nocy, i leża bym go w tej chwili w skrzyni fura,
 faworita na iart miewtłusciwy.

Leonora. Zawsze jesteś niepokojącym o kawosze Dobry!

Hortensja Pójdzmy piosukać kiciu!

Leonora. Zaraz. — Wyprowadź Pana, nie widziałeś jego sygnu?

Sernegri. Nie, Pani morgralino.

Leonora. Niepójniesz, Dawego go dotąd nie ma...

Hortensja. Zapewne już musi być powrócił, tylko trudno go zobaczyć w tym tłoku...

Sernegri. Poszukam go.

Leonora. Wadzi Pan tak Dobry!

Hortensja. A teraz pójdzmy [Hortensja i Leonora odchodzą.]

Scena V.

Sernegri pójniesz Wiktora o jenoze pójniesz Rozpuł?

Sernegri [Wprowadza Leonorę i Hortensję do Drani, kłania się im, następnie wra-
 ca.] Wprowadzę, nie wiem gdzie go szukać!

Wiktor. [w mundurze oficera marynarki, w chadzi o pieskanie.]

Sernegri. Ktoś nie miałem iść ci szukać?

Wiktor. Zatrzymał bym się, że uostała marny.

Sernegri. Tak jest.

Wiktor. [z piosieczkiem.] Wziął Pan u niego?

Sernegri. Wmieszoraj nie lęto o pasoha.

Wiktór. A ja mtaśnie nyszedziatem aż na miasto, dla nabrania odwagi. — Miałem nadzieję, że mi się daisiej uda....

Sernegri. Miałem ci rana, że daisiej daisiej, ty nie nyszaje mi się odpowiedniwie do rozmowy; zaimo to lętem u nas. Twoja matka miała tyle rajcia, że nawet przyjać mnie nie mogła... Jutro, pomańis a nig — bojs się jednak!....

Wiktór. [zaniepokojony.] Boie mi?!

Sernegri. No, no, zobaczymy. Symcasem haw się dobrze.

Leopold. [wchodzi. Na progu mundańe szlipy.] Spustnegajis Wiktóra.) Jak widzę, są tu łapieżni przedstawiciele marynarki! — Tak to on! — Boie porucznik! — Stać prosto!

Wiktór. [skłania się po wojskowemu.]

Leopold. [zgląda go od stóp do głów, następnie wraca mu się na ramię.]

Wiktór. Nyszedziatem na miasto, przygotatem się mustrie i edawało mi się, że się tam znaję. Dopiero przed chwilą stał się wrócić!....

Leopold. Ja także. — Zaledwie edawałem się pomebrac. Alawiatem się, że przyjdę za pięćno. [Do Sernegrego.] Nie widziatś Pan mego stryja, Panie bralcio?

Sernegri. Jest na bala — i mtaśnie przed chwilą przedstawitem go Panom domu.... Ale zatraj majie się tu w tym pokoju. [Do Leopolda.] Tisigie wróci mieszadługo. [Do Wiktóra.] Matka twoja także. — Powła tylko poszukać panien Permanso, gdyż chce je przedstawić kisiu.... Zabarwie tutaj, chwilkę. [Do Wiktóra.] Powiem twojej matce, że tu jesteś. [Wchodzi.]

Scena II.

Leopold. Wiktór.

Wiktór. Otrzymatś mój list?

Leopold. Wzornaj go dostatem — Ale to fatalna historia! Jakże się przyjątycie?

Wiktór. Wcale nie entuzjastycznie. —

Leopold. A matka?

Wiktór. O moja matka, — to smiół Dobroci!

Leopold. Głównież nie miś o tej swojej Emmie!

Wiktór. Powinam li — udownie stworzenie! — a bracha li wiedzieć, że do asiem,
naszego naka życia, naka tylko mojej refusia. —

Leopold. I tak dalej, i tak dalej. Prędy umiem na pramie! Nie umiata adonić
z tego od dobrego, snoty od myślenia, słowem, niewinność przegrana w grzechu....

Kiptor. Čygi nalyz protspinal' na to?

Leopold. Hm, hm—

Viktor. *Skors tylko proxnata pravdz.....*

Leopold. Rozumiem! Była jej dusza, rozmawiała się w niej natychmiast i o tego brykała się głosem!

Doktor Wiesz Dobrze, ja bym swietego jest mala a prawnai prawni, umacny, pragnaci inoty!

Leopold. Kozumien.

Hektor: [z niecierpliwością] Cóż ma znaczyć to ustawienie, rozumieć?!

Leopold. Nic gniej się, ale spragnij się i słońcem. — Powiedź mi jednak prawdę
Dobryśliwie, jakże droga dla prawdy — dla promienia światła — zastąpić się do
słoneczny Smutek?

Niktor. [signo.] Ja ja, objaśnitem!

Leopold. Proximum!

[illegible]

Geopol. Summa summarum neco tak si przedstawia: rochlicie statku, wal^o
ka z oceanem, ocalenie - rochlicie moralne, walka ze światem, rehabilitacja!

Kiktor. [ironicznie.] Tak jest, nechalibitacja!

Leopold. Ale to dramat. Kto wie, może go w jednym, w trzech i w pięciu aktach a
kiedy z nich być aktów Kaufmanna i nadzieję, ani jeden z aktów straszy!

Виктор. Ты согласишься, что вернее не ~~материальном~~ материальном или физическом, а в нем, а не мы

marynarnie patrzemy się zawsze w miedź!

Leopold. To też rozliczajcie sobie nosy! Czyżby: rozliczcie sobie nos kachan, namy, „wajacym się: panna Gurnia!

Hektor. Siwaś sobie pruku! Wier co mi rak małka napisata? „Wylacnaj, xawst! Orugin a tyłko dla siebie hadk nie ublaganym!”

Leopold. Nie miwys wale, ielby' w tym wypadku miać być dla siebie nieublaganym!

Hektor. Czyż to sbrodnia myblacac' winy?

Leopold. Małka kucata li myblacac' winy, ale nie karata li się z niemi ienit'! Jest abyt wielko anystakratka i opowiadacis nie prapustkora nawet ie słachetk jej napisomnienia, dopowiadacis jej do takich przesady.

Hektor. Powiedz raczej, że jest to koliczta smięta, żadna miwra nie miwra po „Kielac' kapiatrywani i przesadach towarowych! — Jeżeli się kogo bój, to ojca i jego prapwianania do tradycji radonych domu Vermanso Dorilorta! Orzela li wiedzieć, że już dawno napisat' i onę dla mnie. Kucata to być matkacisno we famijie. — Na wór panujących domów.

Leopold. A Estera?

Hektor. Tak jest. Ale od dzisiaj prętestanie sobie kuzynocata mys'lec' o umie.

Leopold. Co do niej prapwnej li radz!... Bodo miła i iecuchyna... wyobraź so, że i gda komiornie ielby jej mówit a ty, „jak na szkolnych czasów!... Prapw li się, że mi to prapwie wyrachowaniem.

Hektor. Dopiero niedawno apus'cica pensję!

Leopold. Małka jej kapiownia, że to mawność, niewinność i iecucha....

Hektor. Tak to? Jej małka li kapiownia?

Leopold. [us'miechając się.] Orzela li wiedzieć, że się uminga brach do mnie, a uminga namy najgoc' coby na wydaniu.....

Hektor. [us'miechając się.] Slicznie! Coby by, ratem było gdybym jexere i ja racat się starać!....!

Leopold. Nikt li nie prapokadna! Liolka trzaja jako Dobra gospodyn, alie „ra konkurentów na rapas, showa ich i sortuje! Cy, ja.... a miwra jexere se i wóich lub brach, woryscy jesteśmy praportowani!

Viktor. Kije, nie wie nic o Twoich zamiarach?

Leopold. Nic a nic. Ojciec będzie, ni kto o nich nie wie. Oni są daleko, nie byłbym w stanie przynieść słówko o ukruceniu, jakie requires dla pomocy tam - narazicie się i ^{co najmniej} powagicie. ^{co najmniej} Opatrzcie mi się nie wdawając się w stryjce powołanie i 60.000 lirów rocznego dochodu. Stryjce dzisiaj przyjeżdża a dzień jutrzejszy będzie dla mnie najważniejszym dniem w życiu!

Viktor. Dla mnie będzie on jeszcze ważniejszym [He smutkiem.] Bóg się... o siebie... Odmowa była by dla mnie straszną!... Na morzu łatwo się stało « wiek uchy gardzić życiem!

Scena VIII.

Oni sami. Estera w eleganckim stroju balowym.

Estera. [wchodzi na palcach i staje na mini niespostrzeżenie.]

Leopold. Głupstwo! Marynarka nie dla tego walczy i burza nie dla potęgi myśleć

o.....

Viktor. [z wielkim smutkiem.] Jak się umyśle mamia na łódzie.

Estera. [złamane w ręce i upada między nich z okrzykiem.] Hau! [Zmaga się.]

Leopold. i Viktor. [sprzeustraszeni cofają się o krok. - Razem.] Co to? - kto to?

Estera. Bądźcie siłą abrogacji, ładowej i morskiej strachu naprowadzam!

Viktor. To ty, młoty Dziewczyno?

Estera. [z prawdziwą, niecierpiącą namiętnością. N. B. Estera jest tylko mychom, mową swobodnie, ale xresztą powinna być namiętna, pełną wesołości i ironii.] I Dziewczyno, amantami!... cała ich abrogacja polega tylko w tym że się chcieli pewnego razu kłamać o domość i wziętość na ale i powiedzieć: « marsz do piekła! »

Leopold. Osmiesz nie poszła razem z niemi?

Estera. Jak byłam w drodze, ale mnie mama odebrała. [Do Viktora.] I co Panie karynie?

Wiktór. Co takiego?

Estera. Co się robi wróciwszy z podróżą? (Wskazuje mu snót.)

Wiktór. O... z przymiennocią! (Łatuje jej głośno w snót.)

Estera. Be! Za głośno!... Pominę się całować podchusta.

Leopold. A ja mam odejść z kwiłkiem?

Estera. Daj. (Wskazuje mu figę.)

Leopold. No, to dowidzenia. (Wskazuje się do odejścia.)

Estera. Jak to? Gniemam się?

Leopold. [Śmiejąc się.] Dookoła! — Ale muszę iść poszukać stryja.

Estera. Nie chodź!... Przejrzenie tatuj... i mama takie przymiennoci... Powiednia. Ta nie mnie przedstawi księcia i kazała mi być dla niego ludno grzeszną i starać mu się przypodobać.

Leopold. Dookoła mnie to cięży. [Na str. do Wiktóra.] U co, nie mówię ci? Jesteś już poszartowany. (Wychodzi.)

Scena VIII.

Estera, Wiktór, południowy księże, Robert i Andrzej.

Wiktór. Ale wiesz Estero, że tualeta twoja to istne aco-dziśto gustu i elegancji.

Estera. Nie prawda? — A co? Dajcie fryzura — przymiennoci no się!

Wiktór. Wrażliwa! Co na architektura!

Estera. Widać chusteczki? — a perfumy? — Pomyślaj!

Wiktór. Dajcie. (Do się tycaj perfum, to przymiennoci ci się, wale, napaść porządku.)

Estera. Proszę mi chustek i perfumami nie przeciwierać — bo to pamiątki od przyjaciół i pieniędzy! (Wychodzący się po lewej stronie sceny. — W głąb i prawej strony wchodzi księże, Robert i Andrzej. Stają we drzwiach. Na ścianach i kwiłkami i roślinami egzotycznymi umieszczone na środku sceny są starych Estery i Wiktóra, przed ich oczyma, jak również niedowalają Estery.

i Hektorowi spowrotać przybyłych.]

Figaro [do Roberta i Andrzeja.] Ale proszę bardzo! Nie wolcie Panowie ze mną cze-
nować! Skoro tak gwałtownie przybyli, to ma się rozumieć ić - e-e-e.

Robert. To to ambasadorowie, niemiecki i austriacki.....

Andrzej. Przybyli umyślnie do Neapola, ażeby uszczęśliwić nas swoim obywatelstwem.

Figaro. A więc proszę bardzo, nie pozwalcie im Panowie czekać.

Robert. Powróćmy natychmiast.

Andrzej. Za pięć minut! [Robert i Andrzej odchodzą.]

Figaro [wychodzi z malną na środek sceny i przypatruje się przez okno ahalony
kwiatom i roślinom. — Estera i Hektor uhlają się do środka sceny.]

Hektor. Tęże tylko jedną przyjaciółkę miałam na pensji?

Estera. Tężda i nos miała tylko jedną. [Spotykają się z księżciem, który nie
znając ich, klania się i lekko. Estera i Hektor kłonią się księżciu tak samo
i przechodzą się nieprzekonywająco rozmowy.]

Hektor. Nieważ była regenta na mojej pensji?

Estera. Sego nie wiem, ale zdaje mi się że nie. Moja przyjaciółka była księżniczką
Sforonja.

Hektor. Cui, fiii! Księżniczka!

Estera. I wsi wielkiego? Tam Carmanso nie ustępuje w miarę Panowi Sforonja.

Figaro. [admirując się, do siebie.] Uha! Widać to neapolitańska!

Hektor. [Przeglądając na środku sceny, i mówiąc prawie tajemniczo.] Oj, ojcowa,
oj, ojcowa, ojcowa!

Estera. [mówi swobodnie.] Nie ma w tem tajemnicy! Najnaturalniejsza rzecz w świecie.
sic! Tężda i nos miała przyjaciółkę ad aerca i tej przyjaciółki miłośnic' Donatiana,
a w walnych ^{chwilach} tylko z nią się bawiła..... Miałam, my, bardzo miłego, bardzo romantycznego,
my agnola! Uch! gdzieś był i nos widział, jak się my po nim spacerowały! Ale
zawro tylko podwie — jak jasność: Dwie albo trzy pary spacerowały po alech,
^{inne ligaty po ogrodach} inne Panowie stawały nad brzegiem jeziora i nuciły sobie przy, przegladali się
w wodzie... i co tam było śmiechu i kłusa! Oho w ogrodzie powiewałyśmy, o.

bie na wrażeń, wyszłbie łajem nice, spowiadają się miłośnicy przeszłości i historyj! Jedna podata ramis — jak kawaler damis — druga opierata się na nióm, swadykując i okucując tkliwe spojżenia.... at, tak, — [Spiera się na jego ramieniu.]

Hiktor. Słotki ramusie luywat kawalerem?

Estera. Zmieniła się mój ciemny ról, jak na lekki tancerów.... Czasem kto cię mój się takie! Nie brakło wtedy ani dżosów, ani męsuran ramonami, ani nie gniecanych słonek.... ale za to, jeżeli to była rólka fany przeprosinach, kiedyś mój na wrażeń alderowyzwały się upominkami. Z słonek chustek, dostalam wlasnie od przyjacielki z okazji przeprosin. — Przyniesła się na mnie na to, że inną darowała kamolę. — H chusteczce znalazłam lilecik z napisem a je t'aime. "Ja jej za to darowała ładny pierścionek, showany w liscie, w którym napisałam, a je n'adore que toi." Lilecik znalazła pretekst. Bóg Jahiego narobiła kłopotu....! Natychmiast postata po mamę i spowiadania, że jej wyszło. — Prawda, że nie mądra?

Hiktor. I co? mama?

Estera. Mama przysła, kazała mi nie wywotać, a po jej minie przeważnie, że starała się wszelkimi siłami udac' nagniewang. Pretekstona była blada jak ściana i nie mogła ani słowa — widocznie musiała jej mama porządnie nagadać!.... Twierdził kociów powiedziała mi mama tonem ostrym: "chcesz mi takich głupstw więcej nie było." Póco francuszczyzna? Chyba mi magła napisz zamiast a je t'aime, a Kocham cię." Na ten słonek się kłamanie a pretekstona postata od mamy kłopot, a raczej albragui chęć!.... Powiedzi, nie śmieć na to historyja? [Zmija się.]

Prisłanie [na ostr.] Kto jest matko tej córce! — Niech Bóg broni żeby to miała być ta, która Leopold wybrała!

Quintini. [młody blondyn z tęgimi włosami elegancko ubrany wchodzi i zbliża się do Estery. Filania się gnieć i mowi.] Oni prowadzą, Panno młoda, grabianko, że ja poproszę o poradę tancerów.

Estera. Czwartem, a przyjemnością. [Wchodzi mu porządek tańców.]

Quintini. [wpijając się, namiętnie zwraca do Estery.] Złoty Panu, jak tam w ogrodzie pięknie śpiewają Stawki! Prześlicznie... do tego kszycie świeci tak uroczo!...

Estera. [spoglądając na niego, po cichu.] Nic... nie tyłem jeszcze w ogrodzie.

Quintini. [z. w.] Skoro Pani znajdzie chwileczkę czasu, miłk Pani idźcie postuchać.

Estera. [z. w.] Dobrze... pomyślę!

Quintini. [wchodzi jej porządek tańców, kłania się, wzdycha i odchodzi.]

Kiktor. Kto to?

Estera. To mój... nauczyciel muzyki... pan Quintini... ale opropas, czy przypominaś sobie projekt, jak nasi rodzice powzięli myśl, dem nas obżę?

Kiktor. Naturalnie, panie tam doskonałe!

Estera. I co o nim myślisz?

Kiktor. A czy?

Estera. [wchodzi mu gościem do prowadzenia, że się jej projekt nie podoba.] Ah!... No, a czy?

Kiktor. [tak samo.] Ah!

Estera. Ktoś co? Lubisz ty?

Kiktor. Ja lubię tańce!

Estera. Ale nie tak rebum ani miata —

Kiktor. I ja tak samo — t. zn. nie tak, rebum się ani miat ożenie'a talę!

Estera. [zaintrygowana] Aha! Ktoś nie to samo chciałam powiedzieć! Dla tego też nie może stanicem lubić się nawet wstępy, kiedy wyjdę za niego. Nie prawda? Ale ożę? gnuś, jakże!... Oj! Oj! puzko! Za tańcem, nam w kato i zarak wracamy!

Kiktor. Dobrze, ale spieszmy się!

Estera. Zaczę jak do orturmu!... Ach prawda, ty ^{nie} jesteś zotmerzem, tylko ma, regnarem! Trwamy razem ęgle! [Wchodzi wyliczając sylbko.]

Scena II. IX

Tisiane pamięć; Matylda.

Tisiane. Muszę jak najprędzej odnaleźć mego siostrenica! Jeżeli by ta Donna, miata być jego wybrana — to na nic sprawa! [Wchodzi w głęboceny.]

Matylda. [wpada nysła, matając] Otero, Otero! — Nie ma jej tu! — Powinno mi ie tu zostać!

Fiszcie. [na str.] Zgromadzić kurynta jej. [krzacz.]

Matylda. [zdrętwiała księża, która mu się ulekła i chce oświecić.]

Fiszcie. Tyłak Pani.... — e — e — ale zapewne orukasz Pani.... — e — e — kurynti? — Paniu margrabianki Bermanse, k?

Matylda. [protakuje dystynzowanym ruchem głowy.]

Fiszcie. Za powaleniem czy i Pani jesteś panu Bermanse, k?

Matylda. [z w. naliwa się do odciecia.]

Fiszcie. Chciałem Pani powiedzieć, że kurynta jej wtaśnie pona chwila, pona do rali balowej.

Matylda. Tak? — Ja wtaśnie wracam z tamtą i spobawiam się ie ps tu najis?

Fiszcie. Powiata, że zaraz wróci.

Matylda. [przeglądając mu się.] Nieśmym wysocy rejce' się w tym pokoju.

Fiszcie. Zapewne radnice księci Paniu kumus' prowadzić?

Matylda. Tak jest — księża Lambrini.... którym Pan zapewne jesteś?

Fiszcie. [kłamując się.] Orawo! Pona margrabianki! Jakimie spowabem — e — e

Matylda. Pannatam księża?

Fiszcie. Tak jest. Wkrytas' mnie Pani!.... Ach, romuniem! Zapewne widziałeś Pani mój.... mój.... — e — e — e

Matylda. Fotografiz?

Fiszcie. Tak jest, mój kwaterfeht.

Matylda. Przesypwicie, miatam na myśli portret, gdzie na tej' fotografii, która widziatam, mygladacz księża.... staro... mraklinie.

Fiszcie. To też jestem stary i mrakliny.

Matylda. [us' miedziąc się wdręcznie] Oroni Basi!.... Wtaśnie przeciwnie!

Fiszcie. [o alicie.] Jakim to lube drękt!

Matylda. Przed chwila, męrl do salonu Panowie ambasadorowie, i musiał tyś mój

Fiszcie. Kiem, niem. Ojciec i stryj Pani, powali ich powiatai, a ja tymczasem oglądałem kwiaty.

Matylda. Kiedy jeszcze byłam w domu, przelegnawalam je i prawiłam o nich.....
Ale w ostatnich czasach....

Hisiaie. Byłaś Pani na pensji, nie prawda?

Matylda. Tak jest, przed tem byłam ciagle przy mamie.

Hisiaie. [Do siebie.] Wiąże mi się, że to o nią Leopoldowi chodzi!

Matylda. Kiedy mama zachorowała - nie pozwalita mi siedzieć przy sobie, gdyż jak mówiła nie miałam przy jej łóżku ani słowca, ani powietrze podstankiem...
a z gubernantką nie chciała mnie wysyłać na spacer... wreszcie nie mogła mi
dać mnie przyków i muryki.... No i musiałam iść na pensję.

Hisiaie. [na oty.] Jak to ona. [Do m.] Czy byłaś Pani na pensji razem z kuzynką, ksi?

Matylda. Nie, Estera była na innej pensji.

Hisiaie. Zapewne tamta nie podobata się mamić Pani - ksi?

Matylda. Nie wiem dla czego.... potkreśnić miało być podobno nieodpowiednie.

Hisiaie. Prześpraszam Pani - ale musiałab zapewne mieć przyjaciółki?

Matylda. [Przewrotna.] Jaka przyjaciółka?

Hisiaie. No - tak, przyjaciółka od serca, co to - e-e-e

Matylda. Przyjaciółka od serca? Lubitam wspaniałe kalerianki, i one mawiają mi
mnie kaleria.

Hisiaie. Ale ja myślę o takiej wybrannej, jedyniej, uprzywilejowanej, szczerzej przyja-
ciółce! ksi?

Matylda. Nie, nie. Nieja jedyna, prawdziwa przyjaciółka, wcale nie była na pensji.

Hisiaie. Aha! Ktoś mi miewała tam?

Matylda. [i miga się.] Nie, nie.... nie mieszkata na pensji! - Jedyną przyja-
ciółką moją, była zawsze mama.

Hisiaie. [wzruszony. Do siebie.] No to za duże dziecko!

Matylda. Łodziecznie piszywałam do siebie. Skoro tylko myliła godzina
retrazji, biegłam natychmiast do mego pokoju, łapałam pióro, atrament
i papier i zapisywałam czasem trzy i czterę stronic listu. Dawała mi się
że jest tam w domu i rozmawiam z matką, że jak dawniej chodzi z nią po gro-
dzie, śmieje się i śartuje! Albo myślała to powrócić teraz, a jak sobie pomyślała

Matylda. Tak jest, przedstawił mi się sami.....

Ester. A póżniej Matylda mnie przedstawiła. [Zbliża się.]

Hortensja. Wiercie, Andrzej i ty bracie! — Kase dwie! abychom się lekko i doskonale!

Fiszke. [Po cichu rozmawiając.] Bracie? Jest siostra margrabiego? Właśnie — razie ona jest arystokratką!... a ta druga... o Boże! [Wie idąc nie poznac po sobie, mówią głośno do Hortensji.] Ktoż pani margrabina jest siostra margrabiego Roberta?

Leonora. [Wskazując na kogoś niepokój.]

Hortensja. Tak jest. [Obserwuje Leonorę.]

Andrzej. Wzja siostra jest z domu Komarowa Kariberto.

Fiszke. Ach tak!... e-e-e-e abcy jestem... i niedługo ie istnieję jakies e-e-e-futrenienstwo.... Wyślatem jednak nie to e-e-e- [Koraca się do Leonory.]

Hortensja. [szybko i bardzo swobodnie.] Schwagrowa moja nanywa się z domu Mac Berlow. Pochodzi z szlachty... Ktoż wygasty.

Fiszke. [Kłania się, następnie wracając się do królewskiego Fernagrego mówiąc po cichu.] Pochodzi z szlachty! hm!

Leonora. [Wskazując co raz bardziej namagając się niepokój.]

Hortensja. [Kłania się do niej i mówi z czułością.] Leonoro! Leonoro!... lęka twój patrzą się na cię. [Matylda i Ester zbliżają się do Leonory i Hortensji. Robert zaniepokojony, rozmawia po cichu z Andrzejem.]

Matylda. [szepczącym głosem.] Kamo!... co ci takiego?

Leonora. [Wskazując się do niego niechętnie.] Nic, moje dzieci, agota nie! [Po cichu do Hortensji.]

Hortensja. Wzja i nie na chwile!

Hortensja. [Do Matyldy.] Albo proszę, kochana Matyldo, chciałam ci się o coś spytać! [Wie, że ją pod rękę i idzie z nią w głąb sceny.]

Ester. [Po cichu do Leonory.] Czyż stała ci się?

Leonora. [Wskazując na nią, mówiąc po cichu.] Nic, dziecko... Nic mi nie jest.

Fiszke. [Po cichu do Fernagrego.] Także nie mogę głosić!... Jak mogłem się tak... e-e-e.

Fernagreg. [Po cichu.] Amity?

Fiszke. [Po cichu.] Tak jest, oszukac! — Wierci miałem scenę! Pracowni leżało jak na stoni i powinnościem był adwatu spustaw, że tamta była arystokratką udaje,

[illegible]

Thirapie [wierząc go na stojąco.] Brawo! — Ale teraz nam krótko i węzłowato!... Do
juz bych gupstev nam Jovye!

Leopold [roxiuomy.] jakich glapster?

Třetí. Kým myslíte! — Pláčej! Jest lalaj, matka i cotta, klone... hnu... toho
ten... kida dle, ie sis myslis jakas jechi... hnu... toho... ten... Gadej raterm
ko i rostatato! Stlony mlascinac kostase?

Leopold! frankowi na kutył²z, która rommowa ogł²ia Hortensj²z.] Samty!

[illegible]

Redakci! [pro vichu.] Ni, nic, nic, ahaviam si hartao, ie sklonos'ci, jakie okazy, mogly
by hartao tatoo sprowadic' ja—

Gracie. Na ly sang dragg co i mathy..... h3? Tonawien!

Leopold [pocitka.] A vije zgodnase sig stryjask ka?

Prisigite. [Prisigite.] Na aš roxumui!.... Ale dopiero jutro, to? [Tunc tu iradkomi ocom]

Leopold. [odchodząc niespokojny, w głąb sceny. Do salonu wchodzi goście. Hortensja z gościem i landradyem, wychodzą na przed sceny. Leonora z dwugięm bratem romanem i Robertem i hr. Lorneguinem; do nich zbliża się Leopold. Natylwa i Estera rozmawiają z gościem.]

Knjige. [Eblira si dv Hortenziji i Andruoja i stara si ih odciagnaci od gošći] Concreta
Knjstva, to istna perla!.....

Księżę. Niemniej, czy Pani margrabina przyjdzie jutro?

Hortensia. Peris in, nause —

Priglasie. [klama se:] U tak skuto trnícíj godině... my; Pona magralicigo easten z-

Андокъ: казискавадице!

Isidore. Siedzi tam na fotelu.

Hortensja. To moja siostrzenica! Cóż moja stoi przy niej i rozmawia.

Isidore. [Do siebie.] Siostrzenica!... Ktoż ona nie jest jej matką? !... Miałaby tamta nie być!... Co ten Leopold wyrabia? [Siostrzenica go ogarnięta atakem jęczy Matyldę i wrota na niego.] Leopoldzie!

Leopold. [zbliża się do niego, spojrzawszy ciekawie na Matyldę.] Co stryjka?

Isidore. [półgłosem.] Chyba wiedzieć... to jest... e-e-e - czy ona nie ma siostrzenic? jest ta, o którą się starasz?

Leopold. Naturalnie że tak.

Isidore. A matka?

Leopold. To właśnie ta dama, która przy niej stoi!

Isidore. Chybaż mi tego adwoka nie powiadają?

Leopold. Ale mówię!

Isidore. Dajże! Mniejsza o to! Wiadzie sobie, że w domu rozmawiam!

Leopold. [zwieszony.] Na Boga! Stryjka!... Co się stało?

Isidore. Matka!... Miałabyś nie wiedzieć o nim?

Leopold. O nim, zgoda!

Isidore. Ale za to, ja wiem wszystko! [Ustro.] Niepodobiestwo. [Wdala się.]

Leopold. [postępując na nim.] Stryjka! Czy chcesz doprowadzić mnie do szaleństwa?

Isidore. Powiadam ci jeszcze raz, że o nim nie wiem nic!

Leopold. [prosząc, odchodzi w głąb sceny.]

Wiktoria. [wchodzi i spotyka Leopolda, który dotychczas przemawia.]

Lernegri. [który wszystko widział.] Co się tu dzieje? [Matylda wstaje z fotela a Leonora Hortensja i Estera zabierają się do wyprawienia jej z salonu.]

Wiktoria. [przyspieszając do Isidora.] Tyłach Isidore....

Isidore. Z kim mam przyjemność?

Leopold. [odciągając Wiktoria, półgłosem.] Chyba ci się coś przydarzyło... [Mówi z nim pocichu.]

Lernegri. [przyspieszając spiekanie do Leonory, mówi pocichu.] Kimi mój bratobliwy obawiam się, wyjątkowo nieporozumienia.... Isidore nie zna syna Pani.

Lechciój' porastać tutaj!

Leonora. [mówi kilka słów Hortensji do ucha; Hortensja, Matylda, Estera; Lindy i Robert, odchodzą. Scena się apróśnia. Porostają tylko księża, Leopold, Wiktor, Leonora i Fernegre.]

Wiktor. [wracając się do księcia.] Zatem myślisz księżu....

Księżu. I kimże mam przyjąć?

Wiktor. Jako najlepszy przyjaciel Leopolda, naklinam cię księżu, powiadz co się stało?

Księżu. Jeżeli on jest najlepszym jego przyjacielem.... to mu powiadam.... że kto nosi słowne narzewnisko temu niewolno planić go niemożliwem matkinstwem!

Wiktor. [z gniewem.] Czy księżu mówisz o mojej siostrze?

Księżu. [zdziwiony.] Jak to o Pańskiej siostrze?

Leonora. [przysięga do nich szybko i z wielkim spokojem przedstawia księciu.

Wiktoru.] Syn mój!

Wiktor. [z gniewem.] A ja komu mówię, że —!

Leopold. [mówi z naciskiem do Wiktoru.] Wiktorze!... Jakim tonem odzywasz się do mojego stryja?

Wiktor. Owe stryj'smie —

Leonora. [z godnością.] Wasyć tego!

Wiktor. Matko! Czy słyszałaś —?

Leonora. [z wielkim spokojem.] Słyszałam! — Kto nosi słowne narzewnisko, nie powinien planić go niemożliwem matkinstwem! — Czy wiesz i przekonasz się, że rada księcia udzieloną była Panu Leopoldowi? Nie komu innemu?

Wiktor. [zawstydzony przysięga do Fernegre.] Wiaćby mnie mieć na myśli?

Leonora. Księżu masz zupełną rację! Sama to przypuszczam! Stawa księżu wyznać, że jednak koniec nie bliższego porozumienia się między nami. Inne księżu było dzień zatem takaw przyjąć jutro do mnie oświadczenia drugiego? [Wierzy go rozharajęco narzekaniem.]

Księżu. [zobowiązany.] Dobrze.... Pani margrabino.

Leonora. Także nam na to Pańskie słowo?

Księżu. Tak jest.

Leonora [Do Wiktora; z niezachwianym spokojem.] A teraz idźmy do Matyldy! [Obu-
mego przed sobą i razem z nim mychłowi.]

Thiagie. [Do Fernegrego i Leopolda.] Wiedziacie mi teraz - e - e - e - mychłomachci-
e - e - e - co to wamysłko znaczy, he? [Wzniesiony oddech w głąb sceny. Leo-
pold w rozpaczy idzie za nim. Fernegre odchrząkiuje.]

Akt III.

Dekoracja do aktu pierwszego.

Scena I.

[Leonora. Robert. Fernegre. Leonora smutna i zamyślona siedzi po prawej
stronie sceny; Fernegre po lewej. Robert, w takim humorze, chodzi po pokoju.
Kauka.]

Robert. Thiagdy, na mojem miejscu tyłby powiedział po prostu: „nie ożenisz
się z nią i kwita”, — ale ja.....

Leonora. [Zmartwiona, z oczyma wodot spuszczonemi.] Ale ty?.....

Robert. [Starając się ukryć myśl pierwszą.] Ja.... widziś, ja pomyślałem sobie
a mił niezmie sobie sprangę do serca i zachoruję albo zrobię jakie głupstwo?

Fernegre. Tyłbach, ale zdaje mi się, że między sobą thiem: „nie ożenisz się z nią i
kwita” a podobnie, „mój ja sobie mój synka”, wielka zachodzi różnica.

Robert. Synajmniej. Tym wypadku można tyłko uxorować albo uchorować.
Wiedziś, Ingi nie ma. Kwita, nie powiedziałem macka a mój ja sobie mój
synka” tyłko „uobaczymy.”

Leonora. [z. w.] Ożenisz nie powiedziałeś pierwszemu że mój?

Robert. Daj mi Leonoro! ale byłem pewny, że będziesz jeszcze potrafiłaś odemnie....

Leonora. A to dlaczego?

Robert. Czy nie oczekujesz, że w chwili przylotów tej panny?

Leonora. Tak jest. Ale czy nieś wiesz dlaczego?

Robert. Daj mi Leonoro! Kiem, że jesteś dobra, słabeusza, rozsądną i pełną cnót, ale właśnie cnoty twój stan, li tym razem na przeszkodzie.

Leonora. Dlaczego?

Robert. Ach... Dlaczego, Dlaczego! — Tylko koniec, co jej powiesz?

Leonora. Że o małżeństwie mówię tylko nie mówie.

Robert. To nie wystarczy. Musisz podać powody.

Leonora. Lęka jak na dloni.

Robert. Czy sądzisz, że argumenty twój nie zawrócą się właśnie w całą siłę przeciwno-
nam samym? Nie podasz jej przeciw fałszywych powodów, t.j. takich, których sta-
nęły wbrew naszemu i własnemu naszemu postępowaniu?

Leonora. [z przerwą.] Lękam się, to dowód; w jak fałszywej przynajmniej przynajmniej lat 19.

Robert. Lękam się, to dowód!

Leonora. Obrutny to wyrok! — Nie miałam wówczas nawet lat 16, — ty już byłś starszy

Robert. [z przerwą.] Ale... przysięgam ci, Leonoro, że mi nawet przez myśl nie przeszło
oskrobać cię....

Leonora. Wierzę i o oskrobania nie mówię — tylko o śladu! Ty dzisiaj kłaniasz! [Wstaje
i kłania się nerwowo wzburzona; Robert milczy.]

Sernegri. Moi kochani! Proszę, pozwólcie, nie się oddać!

Leonora. Tak to? Chcesz być adwokat? Władzą twoją teraz tylko widać do rządu... mi-
mo to uważamy jak dawniej na białą! — Tak, doherac, kłaniasz... i to oddawna, cho-
ciaż dopiero ^{dziś} rano pierwszy się zdradziłeś... Nasz rząd i ja też małe się nie ustami-
tylko kłaniamy czy chcesz zgłosić przysięgę? twojej synowej tyle zgryzoty i smutku
nia, ile ja uczuwałam w tej chwili? Czy chcesz żeby syn nasz kiedyś tak kłaniał, jak ty
dzisiaj?

Robert. [nie wiedząc co ma odpowiedzieć.] Kłóciłaś się... Daję... ale licząc wszystkie nowości ze strony bragińskiej i te nie tylko furasdy światowe ale nawet powiadanie, codziennie życie....

Leonora. A więc wolat'byś mnie, kłócić zabiła i kłócić i kłócić coś na kształt figury i kłócić?

Robert. [nie wie co ma odpowiedzieć.] Kłócić kłócić?... kłócić kłócić co by mogło skłócić. Do przesady go o chwytliwym rozmowy.

Leonora. Jak to? Kłócić byś kłócić między naszym synem a kłócić przysięgło do kłócić?

Robert. Nikt się nie przydymkuje ze siedemdziesięcioletnim stercem.

Leonora. Ale z jego siostrzeńcem.

Robert. Dosyć.... rób co chcesz.... Boże! Boże! [Wchodzi na lewo.]

Scena II.

Leonora. Sernegri.

Leonora. [chodząc po scenie; widząc po niej; nie przysięgała by słowami wyrazić wszystko co jej dolega.]
Sernegri. Pani margrabino, proszę, uspokój się Pani!....

Leonora. Pasa Pan Tusznoś; panu mam się uspokoić i to koniecznie... Jak Pan widzi, oczekuję chwili stanowczej.... najstraszniejszej w moim życiu.... Przygotowywałam się do niej od lat wielu.... Ściada! Gdyby mi się zabraknąć miało! Straciła bym płon i cel życia pełnego ofiar i cierpień!.... Pomóż mi Pan, rozmawiaj, dodaj otuchy!

Sernegri. [spoglądając na zegarek.] Dobrze Pani margrabino... ale kłócić niebawem nadzieję

Leonora. Kłócić o kłócić. Instan' Pan chociaż z pięć minut i pomóż mi uspokoić niecierpliwość moją.... przygotować się do walki, której grozi tylko ja jedna odrazu potrafić!... Kłócić się kłócić na mnie spryskięto!... nawet Robert —! [Z wielką boleścią.] Boże! Boże!

Sernegri. Margrabino... odwagi!....

Leonora. Ściada, gdyby mi się zabraknąć miało!.... Kłócić by mi się dodać!... Robert jest słowistą słabym, niecierpi jak najlepszym... ale... zbyt chłodnym... zimnym...

Powiada, że biorę wyrostko tragiczne. Przyjaciółki moje? Któż je Pan uwierzy mi a
 śmiać?... Powiedź sam, czy nie miałam racji, że nie chciałam znajdować się w ich towa-
 nystwie?... Przyjaciół?... O! Przyjaciół byłabym uwalała z pewnością! — Ale nie chcia-
 łam ich. [Pauza.] Jednego... nawet tego jednego... O! jego to już najmniejsi. [Pauza.]
 biedny Sernegri! nie pojmuję nic... i patrzy się na mnie zstąpiłym wzrokiem!... Tade-
 z i nikt, nie mógłby stać się niechcący dla mnie... ale ten jeden... kto wie? Nie dla
 mojej cnoty niechcący, ale dla tej cnoty, którą świat uznaje. Świat ten, nie odno-
 szący sobie z pewnością przyjemności wymienienia mi imienia śmiertelnego potwora....
 A więc precisely nim! [Pauza, ze smutkiem.] O! nie mi na tym nie zależy; nie agota!...
 Ideal, obraz, jaki sobie od dawna wytworzałam, może tylko stracić na urazę, jeżeli się
 stanie rzeczywistością!... Istnieje może tylko... w fantazji! [Chwile przestaje w ramy-
 leniu, po chwili spoglądając w górę, mówi dalej:] My kobiety umiemy wytworzyć sobie
 w naszej fantazji takie czyste i salubetne obrazy!... My mężczyźni nie macie o nich
 wyobrażenia; dla was, tylko rzeczywistość jest arcydziełem, a gdyby one idealne obrazy
 mogły stać się niemożliwe dla waszych oczu, rozśmiali byście się z pewnością i powiedzie-
 li byście, że się spoczęliście naturze, że miłość jest duszą i ciałem... to wasze myślenie
 tęgę — patrzcie i granit!... [Z roznamiętnieniem wzbudzeniem] Wszakże w zastanowienie
 do pewnych kobiet, pewnych wypadków — Kobiety np. młoda dziewczyna, której dusza cała
 pełna swobodą, niewinnością i salubnością w niej ongi dziewczęca meszłość, a kryjąc, wy-
 jawia ją — jakże mam powiedzieć? — Łatwo sądzić i niedługo miłość.
 [Gorbo.] Udowodnijcie jej, że Bóg stworzył mężczyznę z błota a kobietę z ciekawego iebra
 tego błota a z pewnością słuszny się, zaprawdę i prawda. [Z uśmiechem] Nie, nie!
 Bóg natchnął człowieka swoim duchem Boskim; duch ten jest miłością!...
 myśli ta może błędna ale ona ludzi uświęca!... [Zgromyżono.] I ja tak błędna!
 Sernegri. Margrabino! Margrabino!
 Leonora. Przetłumacza sobie Pan to myślenie na zwykły, codzienny język i po-
 użycie: „Jaka to, ona kocha? Margrabina kocha?!”... „Kochać to za mało, ja

sobie tę miłość i przedmiot tej miłości wyidealizowała. [Klara.] Czy on na to zasługuje?... Nie wiem — i niechcieć mi chce.... Jeżeli nie zasługuje, ten gorzej dla niego.... Inaczej nie wie o niczem i nigdy niechcieć mi będzie. [Znaczką.] A tem właśnie cała moja duma! Urodzona w sferze, gdzie miłość tylko uwierzy, cym jest faktem, sama wzniosła się do tej wysokości — na której się ona stała myślą, czystością, spokojem duszy... nadzieję nagrody w życiu przyszłym... I sam tak teraz widział, że w chwili niebezpieczeństwa odychałam spokoj, którego mi brak to przed chwilą!

Sernegri. [z powściągniętą wielką gładnością i umiarkowaniem.] Przeciwieście, ponieważ ta miłość Pani w tej chwili w atmosferze dziwnie uroczą, w świetle i w powietrzu i światła. Taśca przebiega się tam wroclawskiej miłości... ale, nie mów o tem.... Nie gniewaj się Pani ale jak mawiam, nasz Pani bardzo nie wyobrażenie i mgiełkach! W czasie do czasu powiniemy się pościć znaleźć jakiś wygłask.... Nie pomyślała Pani przypodobać o tem, że ten ideal kłótnie przysięgi, tyle doskonałości, mieć takie być nawet doskonałym?

Leonora. [chłodno.] Pod jakim względem?

Sernegri. Czy ja wiem.... Ot, przypuścimy m.p., że posiada listy oho, że ma ludzkie serce i ich tajemnice i że właśnie tajemnica ta, którą Pani tak pilnie, tak troskliwie starała się ukryć, znana mi jest od dawna.... Wyłask Pani, myślała to mówię tylko w zamiarze okserwania Pani, uspokojenia jej nerwów! — Albo, jeśli tam się, czy ideal ten mógłby w tym wypadku okserwać jedno....

Leonora. [zimno.] Coś takiego?

Sernegri. Hm.... Wiem Pani.... Ładnie mi się, że niepodobieństwem było by prosić się, aleby to, co Pani ukrywała w sercu nie....

Leonora. [prosząc o wielką uprzejmość na zegar.] Wątpię Pani.... ale....

Sernegri. [prosząc.] Tak, tak — muszę Pani razić.... jednak tylko trzy minuty Wątpię Pani uspokojone kupelnic; idź pro kuzina — to widzenia, Pani marzycielko! [Wchodzi się i odchodzi.]

Scena III

Leonora. pośpiesz Joseph. pośpiesz Matylda.

Leonora. [po odejściu Leonnegrego natapia się w myślach.] Tajemnica serca.... — O kim ja marzę? — o mu powieściu? — Tania już teraz nie wiem! — Tajemnica!

Joseph. [przynosi list.] O tam margrabiny Lidensji. [Odczytuje Leonorne list.]

Leonora. O Flortensji? — [To Joseph.] Jak tyżto bracia Leonnegri & księciem pragnę być, natychmiast pojednać wiadomości o tem moja i tutaj tych Panów za „promarkis”. —

Joseph. Według rozkazu Pani margrabiny. [Wchodzi.]

Leonora. [czyta list] « Ach! ten książę, ten Mantuanczyk! Webrał mi całą krew, mor i powabiał rozum — tak jest, powabiał nawet rozum. Z najrozsądniejszych patstwowek, jakie mój rozum, myśliszkość i mój rozum, że ma zamiar prosić nas o rękę Estery, siostry naszego siostrzeńca.... tymczasem — Oboje!... Z jakim nie tę, raz jestem kłopotliwa. Wiedzieliśmy o tem kilku przyjaciółstwach i ledwo skom- promitowani, jeżeli matrymonium nie dojdzie do skutku. A w dodatku syn mój i Estera rozmawiali się i przysięgali do przekonania, że się nie Kochają!... Same przyjaciółki! — Oboje koniec końców postanowili wyjechać z miastem i ciotką do Paryża i to jak najprędzej — najbliższym przystankiem. Zabawimy tam trochę, a miłe i z wielką miłością to — jest jeszcze i inna przyczyna która nas zmusza do tego, ale o niej ci... tyżto nieśmiało nakomunikować. Ta już godzi, my przysięgamy ci sobie pomóc się. — Ach, Leonoro, te dni, te dni! »

Matylda. [wchodzi z prawej strony. Chociaż stara się udawać, że wszystko do polnego przy-
jaciółstwa to jednak widac po niej, że ukrywa jakiś zamiar.]

Leonora. [Do siebie.] Co to może być takiego? — Sama przyczyna... która mi nakomunikuje ustnie a pełnym wyrozumieniem « o, te dni, te dni! » [Prostrzęga Matyldę.] Czy chociaż czego Matylda?

Matylda. Nie moja matko... przyszedłem...

Leonora. O co? szukasz może czego?

Matylda. Jak już snuham

Leonora. Czego ?

Matylda. Księżki...

Leonora. Jakiej księżki ?

Matylda. Do czytania.

Leonora. Wszakże księżki są do czytania.

Matylda. To jest chciałam powiedzieć - jakieś kolwiek będą - księżki:

Leonora. A maczysz się jak grze hawatek, który ci nadatam ?

Matylda. [nawzajemna spuszczają oczy w dół i ablika się do Leonory.]

Leonora. A nadanie angielskie zrobione ?

Matylda. [wziewa głowę i ablika się jeszcze bardziej.]

Leonora. Wje am jedno ani drugie ?

Matylda. Dług matczyko ale dzisiaj rano sama nie wiem co mi się stało
taka jestem oxtanguiona i tak mało mam ochoty do pracy nie

Łuk. [wziewając.] Ten porucznik Lambini:

Matylda. [głowa i oczy wznosi w górę i spogląda się na matkę wesoło.] Ale nie
myst matczyko, że to narak przyjdzie.

Leonora. Cowidz, że dzisiaj nie przyjdzie.

Łuk. Ten porucznik pytał się tylko o Pana Viktora.

Leonora. Sego naanonsu, mennis synowi. Jak, tak Matyldo to przyjdzie spewności

Matylda. [wziewając, że Leonora nie przyjdzie, spuszcza na powrót twarz.] Ciepły
mam nadzieję, że przyjdzie.

Leonora. A więc idź się uczyć.

Matylda. Chciałam ci dotknąć towarzystwa.

Leonora. Nie, moje dziecko. Wszakże teraz wzięty, idź natem do łuczo pakaję

Matylda. Jak przyjdą goście - to przyjdę.

Leonora. Nie, dziecko, idź narak. Tawim nadzieję, musisz jeszcze natłwić brzo
sprow.

Matylda. A nie powalujesz mnie matką?

Leonora. Tawaszem, moje dziecko.

Matylda. [Wymawiając powolnie, mowa nie spowolniona w dot. języka.] Mamie!

Leonora. [Wierzącą głębiej.] Co masz na sercu jeszcze?

Matylda. [j. w.] Coś mi powieściłaś Józefowi, że dzisiaj nie przyjmiesz?

Leonora. [Spoglądając na nią ze smutkiem.] Co mam i z cym takim spramam do kłótni.

Matylda. Musiał się zamartwić....

Leonora. [z ironią] Matylda! - Matylda!

Matylda. A co mi jeszcze matką?

Leonora. Bo mi się musi tuż, ciekawość, no i... niechże ją, skrzyję....
bardzo niepodobaję. Trzymaj się mnie?

Matylda. [z naiwną skłonnością.] Nicem mi nigdy nie dotom do kłótni...
nigdy, nigdy....

Leonora. [wzruszona] Dzieńko dziecku!

Józef. Alalia Vernaghi i księżka Lombini już są na schodach. Biegnijmy tam
ich przywitajcie wam mądrze. [Wchodzi. - Matylda stała stół Józefa
i wchodzącą i radością.]

Leonora. [zfrustrującą to, mowa nie spowolniona do Matyldy.] Nie! Matylda... Nie..

Matylda. [usmiechając się do niej.] Nie? Coś mi jeszcze matką?

Leonora. I ten.... co w twoim sercu nigdy nie gładzi.

Matylda. Nie myślisz, że w niem nie więcej jak tylko trzy miere ostatniego
listu, który do mnie pisał?

Leonora. Przy mierze i listu?... Jakże mierze?

Matylda. Bawia one następstwo. [Latając ustami i listu jak myślowo na pa-
nię leżą.] Też kiedyż ażarnie by uupłynie, to pramię a ten, że by
malka twa kocha nad wyszła na świecie! [Latając Leonora wstępy i wstępy
biega na prawo.]

Scena IV

Leonora. Półnić. Robert. Półnić. Sernegri i książka w promieniu fajerwerków.

Leonora. [Spogląda chwile na matkę półnić, mówi do siebie.] Owszem... adwaga!... Chwila stanowcza nadeszła!.....

Robert. [wchodząc do pokoju.] Tu stój się zastanawiam, tu mnię się do, myślam o księżce powiednieć namieram.

Leonora. [trochę nerwowo.] Powiem mu, że go proszę o chwile rozmowy dla tego, że nie chcę tam aby jej się nie rządał.

Robert. A więc niedługo nie przemyślasz o tem, że ty samą godzinę słuchasz „casy takie i tej... tej famie...“

Leonora. Tęsknię, pamiętam o tem.

Robert. Ktoż ci będzie jeżeli teraz nadejdzie?

Leonora. Pójdę do księżki, ażeby na chwile udać się z nią i Sernegriem do pokoju.

Robert. Jak to? A drami akurat?...

Leonora. Potęgi są spuszczane.

Robert. Minie to słychać będzie całą rozmowę.

Leonora. Dobrze. Ktoż ją księżce usłyszy.

Robert. Kto, jak uważasz.... Zastanów się samą z księżką. Najlepiej półnić.

Robert. [wpromiada księżkę z bracia Sernegri i zaraz odchodzi.]

Leonora. [wskazuje kilka broszur ku księżce i mówi z trwogą, usmiechniętą.] Wskazywać księżce!

Księżka. Hura! Tam dołem stoisz! [Zbliżając się do siedzenia, do siebie.] Jeżeli się jej udaje, że mnie słysze w swoje siła, to się sprachona, że ma do czynienia ze starym, młodym, młodym, młodym.

Robert. [prosi księżkę siedzieć.] Ktoż księżce. Ta chwila fajerwerków. [Wchodzi. Leonora siada i daje pragnęłyby wnieść sobie siedzieć.]

Leonora. Proszę księżkę o to, że dla tego tylko proszę go nie mówić o

chwili rozmowy, ażeby napalić nieprzyjemnemu dla obu stron sąsiem z sy, a
nem moim.

Thiagie. Tak jest.... zrozumiatem. [Do siebie.] Małtem chce mnie uśmilić ale
zajęć nie uda. ~~uśmilić ale jęć się nie uda.~~

Leonora. Naturalnie, że nie warto uwagi mój, iż rada, datująca niemowlu-
mych matkinstw, jakiej książce adwieliter swemu rostracécowi, odnosita się
do mego syna.

Thiagie. Daruję Ci, ale.... e-e-e- nie miałem ucale tego kamiana.

Leonora. [ziggagie Dalej:] Pijniem książkę latwa, że syn mój, jako młody ofi-
cer, musiał napisać się jakimś prawem książce prowalas solie podda-
mac jego postępowanie pod krytykę. Trzeci był to tylko przeklaty wybrgk
— kiccinis tw!

Thiagie. Ta powroale nicem.... Ci, daruję.... ale....

Leonora. [z. w.] W tej samej chwili, w której prosiłam księcia o chwilę rozmowy,
dajam także i synowi memu do zrozumienia, iż powód skłaniający
księcia do podróży, daje mu pewne prawo krytykowania i jego postępo-
wania.

Leonora. [n. str.] Nie pijniem do czego kmiczna.

Thiagie. [n. str.] A teraz ja. [Drocznie ale sucho.] Chiedzę Ci, nauczysz mówić
o powodach skłaniających mnie do podróży — to raka Ci, darować,
Ci, marzaliwo — że prawas solie myjaśnić nieporozumienie, ja o
kie tu rachodni.

Leonora. [patrzac na księcia spokojnie.] Towsem.

Thiagie. [racyna mówić śmiało ale natychmiast traci odwagę i mignie
się.] A więc dobrze.... Towadem mój podróży.... e-e-e-to jest przycyng
e-e-e- dla czego afusciem mantuz i-e-e-e- przycyng do Neapolu
jest-e-e- hm, pytam się Ci, co jest przycyng?

Leonora. Tak jest, co jest przycyng?

Isidre. Krysztian się zdaje, że przychylny.... ale nie mówmy lepiej o innych, o innych.

Leonora. Dobrze, nie mówmy o niej.

Isidre. [nagle znów ałuszy i mówi śmiało.] Tachodni jednak jeszcze i inne nieporozumienie, które pragnę wyjaśnić! Mówiłaś mi o radzie jakiegoś udrzelenia — to jest: o kapturystwie prywatnem, którego sobie jaś do, brze nie przypominam.....

Leonora. [stępczo.] Powiedziałaś kłódkę, że kto nosi słowne nazwisko, nie powinien go kompromitować niemoralnym matkinstwem.

Isidre. Mniej więcej..... ale tego — e-e-e.....

Leonora. Kapturystwa —

Isidre. Tak jest, tej rady wcale nie udrzelenia synowi mi.

Leonora. [zinnu.] A więc komu?

Isidre. Mennu — e-e-e-siostrzeńcowi!

Leonora. [z. w.] Jak to? Tę siostrzenicę kłódkę chce zawrócić niemoralny, anignek?! Brrr! Odpowiedz mi kłódkę o tem.

Isidre. [spostępczo, że mu nie wypada odpowiedzieć na to pytanie. Po lex na kłótkę milczy i nie wie co ma zrobić.] Hm...widzi mi... to jest e-e-e-ten.... tego....

Leonora. [z uśmiechem.] Daj mi ten spokój. Wierzę, że jest kłódkę na jego grzechy mybieg. — Brrr jednak mówić ołowicie — wcale gniewał się nie będe. Jak męczy, wieczor przygnatał kłódkę kupca, najz a więc prozę myknie ścieżkę, że rady tej udrzelenia kłódkę mennu synowi. — Czy nie tak?

Isidre. To już..... e-e-e-nie inaczej.... Coż nam robić? Oczekiwicie. [Wstronie.] Tęż mi do kłótki. Czyliż miata oczekiwicie pochożić na skłódkę słachy? Formalnie mnie oczekiwicie. W kłótki jest coś rozkazującego, imponującego, powołania bym coś przytępniać kłódkę

Leonora. [z wdziękiem.] Nic choć Klucy w sprawie księcia w kłopot i nie choć pytać go o przychylny skłaniając go do zainteresowania się sprawami mego syna. Wystarcza mi to jedno, że księże ranyteś w ogóle zainteresować się mowem, nemi sprawami naszego domu. Spodziewam się, że lojalność księcia pać nie mu pokazać [Serjo.] wmyślenie sprawy familijne domu Camarosa i księ, herbr.

Księżce. [Do siebie, z pewnym rozbawieniem podziwem.] A to mnie miły!... Odaje piękne na nadabne!... Słowy, salachecka! [Głośno.] Co się tycaj legs, to... jak już powiedziałem

Josef. [wchodzi i podaje Leonorze kartę wiewtowa.] Pać Pani pyta się o Panią margrabinię.

Leonora. [bierze kartę i uśmiechając się czyta głośno naxwisko.] Emma Stuart.

Księżce. [w namyśleniu.] Jakże skotke! [Widnie nogi i stara się nie dać nic pokazać po sobie.]

Leonora. [uśmiechając się, do księcia.] Wyłusa księżce, ale nie tyllys' moć, że takaw uoić się na kilka minut do mego gabinetu? [Do Sernegręgo.] Thalia Sernegrę niechce takawie towarzyszyć księciu. [Do księcia.] Choć, jak tu o damy!...

Księżce. [skłaniając się.] Do usług Pani margrabiny.

Leonora. [Do Josefa.] Niechaj wejdnie ta Pani. [Josef odchodzi.]

Sernegrę. [na str.] Serax pajnuje!

Księżce. [na str.] Salachecka krew, ani gadania! [Skłania się jeszcze raz Leonorze, następnie wychodzi z Sernegrim na lewo.]

Scena V.

Leonora. Emma wprowadzona przez Josefa.

Emma. [o wyglądzie bardzo młodościanym; elegancko ale skromnie ubrana, ma ruchy bardzo dystygowane. Spastręctwy Leonorę uoić pokony, nakłopotanie i nielzy kawstykona praxstaje w głębi.]

Leonora. [z łagodnym i pełnym dobroci wyrażeniem twarzy, postępując krokiem na przód; spostrzegłszy jej nagle potanie, mówi z godnością.] Praszę... przysięgać się Pani... Kochciej się usiąść.

Emma. [zabliżając się powoli ze spuszczonej głową.] Ach, czyż to i widzę, że mnie nie zawiedziono! Umiełskie serce Pani margrabiny umie tylko prosić, łaskać i łitować się.

Leonora. [przerzuwając jej z pewnym odzieniem surowości w głosie.] Proszę bardzo, proszę bardzo!... Przybliź się Pani, siadaj, i mów. [Siada.]

Emma. Nigdy, przenigdy! Tylko na kłękach powinienas mnie Pani odwiedzić przed sobą. [Sięga przed nią.]

Leonora. [zrywa się z krzesła i mówi surowo.] Praszę, wstań Pani natychmiast! Widzę w Pani tylko niesmaczliwą istotę a niesmaczliwym, kłękam nie pozwalam! Wstań Pani [Emma wstaje] i usiądź. [Siada znova.]

Emma. [siadając powoli.] To prawda, jestem bardzo niesmaczliwa... a dla niesmaczliwym to przekleście moja!... Ale młodość ta przesłodzić...

Leonora. Młodość i niedoświadczenie tłumaczy często pierwsze fatalne kroki w życiu, z drugiej strony, młodość podnosi znaczenie i wartość poprawy, jeżeli ta poprawa jest szczerą i trwałą.

Emma. Bóg, mój Bóg! Jakimże kającym łaskawcem są dla mnie słowa Pani margrabiny. Wyliży Pani kochana dodać mi otuchy... rozjaśnić mi serce moje łodyż chęć promykkiem nadziei.

Leonora. [miłymi, jakby w oczekiwaniu dobrych słów Emmą.]

Emma. [po małej pauzie.] Pani margrabina nie ma mi nic więcej do powiedzenia?

Leonora. Słucham, co mi Pani dalej powie.

Emma. Jesteś Pani nieskończenie dobra — kochciej mi więc pomódz w tej chwili!... i nie odliczaj jedyną, najbliższą nadzieję mego życia.

Leonora. Nic mi Pani nie mówisz o tej nadziei.

Emma. Ktoż Pani margrabina nie wie, nie — ?

Leonora. Nic nie wiem — i nie przyznam się nigdy — nie chcę Pani

wieć nie mogę o niej.

Emma. [Zwraca na Leonora spojrzenie, marszcząc brwi ale natychmiast przybiera dawkęjszą postawę i odpowiada pokornie i błagając.] Proszę cię tu przysłać. Czyi podobna tej jedynę nadzięci listu bym się stała upadła w rękę i głębia przed Panis?..... Jeżeli w tej chwili nie znajdę odpowiedniego wyrażenia to co bym chciała ci powiedzieć, to błagam Panis, Panis nie może o lino niechaj mi pomóż go wyszukać. Jesteś Panis tak dobry,.....

Leonora. Zapewniłam Panis, że mi nie to wystarczy mogłoby ale mi nie Panis powiedzieć lecz agnoscie: nie szukaj tego wyrażenia i nie prosz mi nie daj bym ci pomogła go znaleźć! — Ta wielka nam wdzięczność dla niecierpliwości Panis, aielym mogła pozwolić ci dalej mówić w ten sposób.

Emma. [Zwracając na Leonora drugie, nieco ostrzejsze spojrzenie.] Czyli inni mi słowy: niecierpliwość moje wdzięczność Panis, wdzięczność nawet bardzo, ale —

Leonora. Ale nie jest w stanie zacząć mi przypomnieć o obowiązkach matki!

Emma. [z wielkim trudem pokrywa wzburzenie i wstaje zachować ton grzeczny.] Czy przysłałaś Panis o tym, że syn Panis kocha mi nie i że ta miłość jego gorąca, pierwsza jako, uczucia, mi nie uczynić go na zawsze niecierpliwym albo niecierpliwym! Władza miłości ta dala mi nad nim władzę. Władza tej w prawdzie dających nie nadawiała, — ale —....

Leonora. Jedno słowo. [Zimno i stanowczo.] Skoro się rok przekonałam, że coś jest moim obowiązkiem, ja mi nie od namierzenia mogą odwieść nie potrafi!

Emma. [wstaje.]

Leonora. [wstaje także i kłania się zimno sadząc iż Emma chce odejść.]

Emma. [odgadując zamiar Leonora.] Nieprzekonałam, nie dla tego wstałam ażeby odejść — Nam Panis jeszcze coś do powiedzenia..... i o wystąpienie tego co powiem proszę — w wspólnym naszym interesie.

Leonora. [spokojnie i lekkim niemiechem.] Ktorego wspólnym interesie?!

Emma. Jak jest.

Leonora. A więc mów Pani.

Emma. Czy Pani sądzi, że syn Pani — młody człowiek pełen charakteru — byłby w stanie nakochać się na kmyśle? Dziwicznie? Czy Pani sądzi, że dziwniejszy na umięjęca pragnąć miłości tak szlachetnego, wrażliwego myślicy młodego? Dziwnie, nie posiada ani moralnego dany, miewieści? — Widzi Pani me mnie istoty niesamowite! Bóg Pani przekonał, że i ja odłamem i ja nie do dobre to moje niesamowite. Kiem dobre, że niesamowite to natura mi gorzka, przytęża godność!... ale wiem, takie dobre jakie mi daje prawa! Bóg jeden wie, że co mnie kształtował ten krok który do Pani woli! — Ale chodzi tu o kłamanie przeszłości, której nie pamiętam, o przygotowanie sobie nowego go życia, nowej młodości, o myślenie sobie przyszłości, pełnej, spokojnej miłości i szczęścia! Trzymamie Pani zatem, Pani nieograbiona, że nie mam zamiaru kłamać i tego wymyslnego bez walki, przeciwnie, walczyć będę nauczalnie! Ale Pani nieograbiona powinna być je umieć wykorzystać dla tego i, o ile wiem wspólną mamę,.... ajcagang.

Leonora. [zinnor.] Ach, wkurcia Pani kłamieć powinnam tylko gotową przeszłość sobie przypomnieć — nie prawda, wszak Pani chciała powiedzieć — O! właśnie dla tego, że ja sobie przypominać, [z wielką stanowczością.] powstawszy nieubłagany! — A teraz.... [Wstania się lekko na znak po niegodności.]

Emma. Jeszcze ostatnie słowo. Czy mam syna Pani zrobić z dzieć jej własną przeszłości i zapytać go o ile przeszłość ta usprawiedliwia dzisiaj Pani postępowanie.

Leonora. [z. w.] Ah! — O! Pani chodzi? Teraz! [Zawoła.]

Jożef. wchodzi.

Leonora. Poprosi mego syna, żeby tu przyszedł do mnie.

Jożef. [wchodzi.]

Emma. [me nings adzwiniang.]

Leonora. [stara się być spokojną i chłodną; lić swoje kłopoty do wody i pruć w ręce korbki, mimo to drżąc na całym ciele, wciąż mówiąc spokojnie ale wygłosie przesłuchują się wzruszenie i obawa.] Odkąd Wiktora jest tuż obok salonu. Zaraz tu przyjdzie. [To krótkiej pauzie.] Alła i on!

Scena VII.

Leonora. Emma. Wiktor wchodzi środkowemu drzwiom.

Wiktor. [wchodzi szybko i spostrzegłszy Emmę, mówi zdumiony.] Emma!... tutaj? !.....

Leonora. Dzień dobry Wiktorze.

Wiktor. Ach wybacz matczko..... Dzień dobry. [Podechodzą ku niej i ciotkę jej w ręce.]

Leonora. Ca paama przysłała prosić mnie o pozwolenie na ślub wesele.....

Wiktor. [radosnie.] Matczko, tyś pozwolić matczko... Gdzież już —

Leonora. Gdzieś twój ucygi, co będzie uwariał za stosownie. Ale ty, czyż nie dozwolisz tyś się pozwolić na to i nie troszczyć o moje?

Wiktor. Nie, ale —

Leonora. W takim razie dowiedź się, że tego pozwolenia nie otrzymasz nigdy!

Wiktor. [z łoszczem i błaganiem.] O, matczko!.....

Leonora. Nigdy! — Powiedziałam to już ci, pannie. Skoro jednak nakazała, i chyba był moim sędzią, więc kazałam ci się nawrócić i oddać całą sprawę pod twój sąd.

Wiktor. Nie nie rozumiem —

Leonora. To nie mówisz. — Chcesz rozumieć, musisz pierwszy pojąć tajemnicę alackiej młodości twój matki: — Ca paama chciała ci ją opowiedzieć, ale sędzi, że lepiej będzie, jeżeli sama to uczyni.

Wiktor. [zdumiony.] Tajemnica?!

Leonora. Tak jest, tajemnica, którą ukrywałam lat dwadzieścia w ustach, wciąż trwając chciałaś nie dowiedzieć się o niej, pierwszy namim ci ją sama nie wyjawisz. Ca paama przysłała ci chwile, a więc stachaj. [Chodzić po niej wal,

ko jako się w niej odgrywa.] Kiedy, matka twoja miała lat piętnaście — była w Londynie — tam.... exem Dżisij jest ta panna!

Niktor. [jakby piorunem samony urywa się i zakrywa twarą rękami.] Ha!... Nie! nie! to być nie może.....

Leonora. [stara się kapanować nad sobą.] Jak jest! A teraz uwaga! Dobrze na karku, moje storo. Nie było mogła powiedzieć ci margalichu, ale przynajmniej postaram się o to, abyś mnie zrozumiał. — A więc słuchaj!.... Mijając lat piętnaście, byłam w Londynie siedząc w niewygodnym. Wyshowano mnie w baletu... i... ale byłam jeszcze kwiatem.... Zauważył na mnie pewen najdroższy kwiatów. — Pewen szlachetny człowiek odkrył ten kwiat i był by się ulitował nad nim, gdyby cena, jaką namacająca chwycić storków nie kamienista łitości jego w oszpełce. Tym słowichielem był królka Bernegni. Pewen, Dział o mnie swemu przyjacielowi, — tuncu ajcu, — a ten wypelował mnie i kazał się main losom. Z pomałka odkrył mnie ajcowszaj afichaj, ale nie długo potem traskliwaci jego ponemienita się w inne gorste uczenie i kralut mnie kion, swygo.... Rodziców, których bym prosić mogła o uwolnienie na uwigach matkiński, już nie miałam!.... Długo mnie ajcieś twój kralut margaling Bernanso, kapagnat takie przedstał mić mnie jako tak, światu.... Świat dobrze wiedział o had prawy, byłam.... i nie przyjął mnie. Skłoniłam głowę i zrozumiałam, nie miał racji. To też usunęłam się w kaciśne domowe i oddalam za motności. Na szczepie w króćce ty przybył na świat, niedługo potem siostra twoja, i nie był mi byt do szczęścia nie brakło, gdyby nie ta myśl Dżisajca, że wy Dżisij moje odkryć kiedyś przesłotę waszej, matki i dowiedzieć się in się na niej plama, jeżeli uxiwa ma wa nawet wyrazić nie jest motanie! — A potem nastąpił nieskończony smutek, młk, gorzkałowych niepokojów ciągłej abawy, i nie udało mi się ukryć przed wami mojej przesłoty i przyglądałam się do tej chwili, w którą sama ja, było mogła wam wyjawiać, nie tracąc ani szczepu ani miłości waszej i nie potrzebując rumienić się przed wami, ale tak

jak teraz a głowę w górę wzniosioną, wyznać wszystko.

Wiktoria. [ruka się Leonora do czoła i pokrywa ręką jej pocałunkami.] O moja święta... moja ukochana matka!

Leonora. [poddany się na chwilę wzruszeniu stana się znówu kaparować nad sobą.] Pocałunki, łzy, mój synu, przemieniają serce moje do głębi, ale jestes' ty wstanie kochaniec a nie niewymowne cierpienie matki, która widzi się zmuszoną do podobnego wyznania wobec syna smętego? Czy ty przyjmiesz co najmniej dziesięć lat spędzonych na wywaleniu sobie prawa do tego wyznania? Kochaniec ty to wszystko.

Wiktoria. O moja matka! O moja ukochana biedna matka!

Leonora. Dobre więc. Dytam się trochę teraz czy chcesz zobaczyć, którą kochała przygotować takich lat dziesięć i tylko chwile jak dzisiaj.

[Anna.] A dalej — Słuchaj li powieści o matce twojej była, czy nie doknałaś, mój synu, bieda, jakby serce twoje przeszywało rozpalonym żelazem?..... Czy chcesz być podobny sprawie i dziećmi tymi? [Anna.]

Emma. [z widocznym rozdźwiękiem między sobą.] Jeżeli dla niesfora niedługo przesyłać odmarznąć tam heroicznie poprawie słuskiej na grody — czy chcesz być razem z nią i syn jej podnieść te przesady?

Leonora. [z pogardliwym uśmiechem.] Ah, przesady!... A jakich tam dowody mają heroicznie poprawy?

Wiktoria. Dziesięć lat cięgiego męczeństwa!

Leonora. A ty, jakich masz dowody poprawy tej panny? [Anna.] Czy li się zdaje, że przykłada, jaki daleko, łatwym jest do naśladowania? Światu nie wydaje on się łatwym, a ja li mówię że świat ma być.

Wiktoria. Ale ty matka jesteś święta —

Emma. A jednak nie ma niechaliłajki!

Leonora. Przeciwnie! Jest i to ogromne! Lecz ona przedewszystkiem w miłości i szacunku swoich dzieci! Czy chcesz tam nadawać się i nie i kochać cierpliwie dziesięć lat z nią na nią nastąpić?

Ay, chcesz odsunąć się od świata i minąć to wystawić się na obelgi, po-
brosić i wzgardzić? [Do Wiktora.] Tak, jak ja wzgardziłam! — Świat nie ka-
miennu wchodzić nie miał, nie miał, ale natchnąć do nich, mi-
nie natchnę! A ja, [Do Wiktora.] natchnę! Liżem się do tego!... Pragnę
najświatła słusznosci! Na dziesięć tysięcy wypadków znajdzie się jeden
jeden rozsądny wyjątek a kroku nie ma tutaj, nie prawa nie istnieją do
wyjątków. To one dla tych dziesięciu tysięcy wypadków w których kro-
ki nasza struchlała na twarzą wciśnięta się w uścisk rodziny, aby im
przyniesić moralną i materialną pomoc — skandal — hańba — dzieci
chone na ciele i duszy, prowadzący ich na dany. Ta panna natchnęła
od tego, iż obłudnie kłękła przede mną a skończyła groźbą, iż powie
tobie, czemu była matka twoja.

Wiktoria. [Zwraca się aburkony i spogląda na Emma wrażliwym pat-
rzywym gniewem, jakby się spodziewała, że kroknie, iż jej odejść wy-
pada. — Emma knieszana, klania się lekko i chce odejść.] Proszę
pierwej musisz moją matkę!

Emma. Przepraszam! [Wchodzi i walczy.]

Wiktoria. A teraz na mnie kłęk! [Wchodzi.] O moją matkę, daj mi
Leonora. [Podnosi go i przytula do serca.] Mój synu!

Scena VIII

Leonora. Wiktoria. Isidore i Sernegri z lewej strony. Patem wchodzi Kalost
i Leohol z środkowemi drzwiami. Następnie Matylda.

Wiktoria. [Sprostrzęsłymi kościami i Sernegri wychodzących z gabinetu.] Co widzę
Isidore?!... Sernegri?!... Isidore?!...

Leonora. Proszę tych panów, ażeby podczas tego, kiedy przyjmowa-
łam to panna, byli łaskawi wejść do mego gabinetu.

Isidore. [Zwraca się do Wiktora.] Panie margrabio, uspokój się... Sły-
szam wszystko a raczej podstępnie. Słyszę jednak, iż to moja sio-
delikatności dalem panu margrabinie właśnie najwięcej satysfakcji.

do Roberta i Leopolda, którzy właśnie wchodzi,] Jak to dobrze Panie
margrabio, że przychodzi w sam czas — dzikuj li także za przyprawę,
Dzień mego siostrzeńca — Traci on przez moje usta oświecenie —
Matylda. [wbiega z prawej strony.] Mamo!..... [Zsrotonęga księcia.] Ach,
przepraszam, nie wiedziałam —

Leonora. Czego chciałaś moje Dziecko?

Matylda. Ciotka Hortensja, siostry Andrzeja i Estera, wyszły w strojach
z podobnych są na schodach i właśnie tu idą. W dole czeka na nich
powóz ablaadowany kufkami.

Robert i Wiktor [podziwieni, razem] Co to ma znaczyć? Czy wyjeżdżają?

Leonora. Tak jest, wyjeżdżają.... Hortensja pisała mi o tem przed chwilą.
[Leonora, Robert, Wiktor i Matylda idą na spotkanie przybywających]

Scena VIII.

Ci sami. Estera. Hortensja. Andrzej.

Leonora. Proszam Hortensjo!

Robert. Jak to? Wyjeżdżacie?

Hortensja. Tak jest, wyjeżdżamy!... I właśnie przysłał mi przegnat' się kawałek.

Robert. Jak nagle?

Andrzej. [nieświeżony.] Widzisz.... Telegram....

Wiktor. [do Hortensji.] Telegram?

Hortensja. [pół głośnie do Wiktora i Leonory.] Ale broń Boże! nie tele-
gram!... Złapcie niedźwiedzi co się stało —!

Wiktor. [tak samo] Czy jakie niespodziewanie?

Leonora. [tak samo] Co to za tajemnica?

Hortensja. Dobre li się pytasz. Ach, to szalona, niedorzeczna dziełka,
na.... to moja Estera!... Wyobraź sobie, przegrana mi się, nie się bocha.

Wiktor. [tak samo] Nie me minie.

Leonora. [tak samo] Nie w Leopoldzie?

Hortensja. Ale kład.... H nauczycielu muzyki; w awygu Quintenim.

Leonora. [tak samo.] Jakże się to stało?

Hortensja. [tak samo.] Pastuchej. Na wczorajszym balu — kawał po twoim adrejsie — przystąpiła do mnie Laura Montalbano i powiadziła mi: „Twoja Estera spaceruje w miłym towarzystwie po ogrodzie. Nie chwal się!” — Wiesz dobrze, że ona mniego jeszcze nie pochwaliła — Lecz tedy mi dała — i Tępię ich na gonącym worynku.... Estera spacerowała wczoraj wieczorem z Quintem pod ręką!.... Wiesz, jakie wyobrazić co się me nimie dzieło! Zdawało mi się ciagle, że słyszę jak ta orka Laura wyspytchim a powiada: „nie nie chwali!” — Naturalnie myśliwym naturalnie. Estera porządnie, a ta głupia dziewczyna odpowiedziała mi niejsprokoc, o niej w świecie, że ona temu nic nie winna, że to miłość.... Tego była mijsa na wiele i powiadziła mi dzisiaj, nawet Andrzejowi, że spłakany wczoraj i wyjeżdżając z tego najbliższym przystankiem!.... Znowu, i tak chciałam pójść do Paryża na wystawę.

Estera. [po cichu do Leonory.] Wyobraź sobie liscin, tak intensywny, młody, celowick!.... Ale co, nalic' skonał jest tylko mój ciemny mój myśli... któremu się płaci' niesieć, pensji. Mnie ma naję — lepiej jechać na wystawę.

Servetzi. [wracając się do Hortensji i Andrzeja.] Pan margrabio, kćnie margrabio, nam wyjedziecie dowiedzieć się jeszcze niekary, nowiny — nieprawda, psie?

Thoirie. Wyjeżdżacie i to od mego siostrenica. Wów, Leopoldie!

Leopold. Mam namcyt prosić Pania margrabiego Leonora i jej siostra o przych ich córki, Panny Matyldy.

Matylda. [przebiega do Leonory i widać jej się na szyję.]

Thoirie. Mam namcyt — e-e-e — to jest, chciałem powiedzieć — mam wielki namcyt nakłonić na ten —

Servetzi. [niecierpliwie.] Na ten kwiatek, na to matien'stwo, na ten słab.

Thoirie. Tak jest. Na to patrzcie [Leonora, Robert, Matylda i

Niktor rozumiając mesalo & księciem i Leopoldem. Hortensja
 uniosej i Estera mają niny uradowane]

Hortensja. A teraz wywijcie zdrowie.

Estera. Mammy jeżure tylko dwadzieścia minut czasu [Zegnij się
 Hortensja, Estera i Andrzej odchodzą. Do ich odejścia księż, Leopold,
 Serwacj i Robert rozumiają w głębi sceny & usnęliśhivioną i
 na kłopotang snatylis.]

Leonora. [Gierne Niktora przed nębe i angalspuje & minie na przed
 sceny mowi pół głosem] Niktor — te dzieci?... Albi jest nehabili,
 taja — i kara!

[Zustona sprawa.]

C.K. DYREKCYA POLICYI
 WE LWOWIE

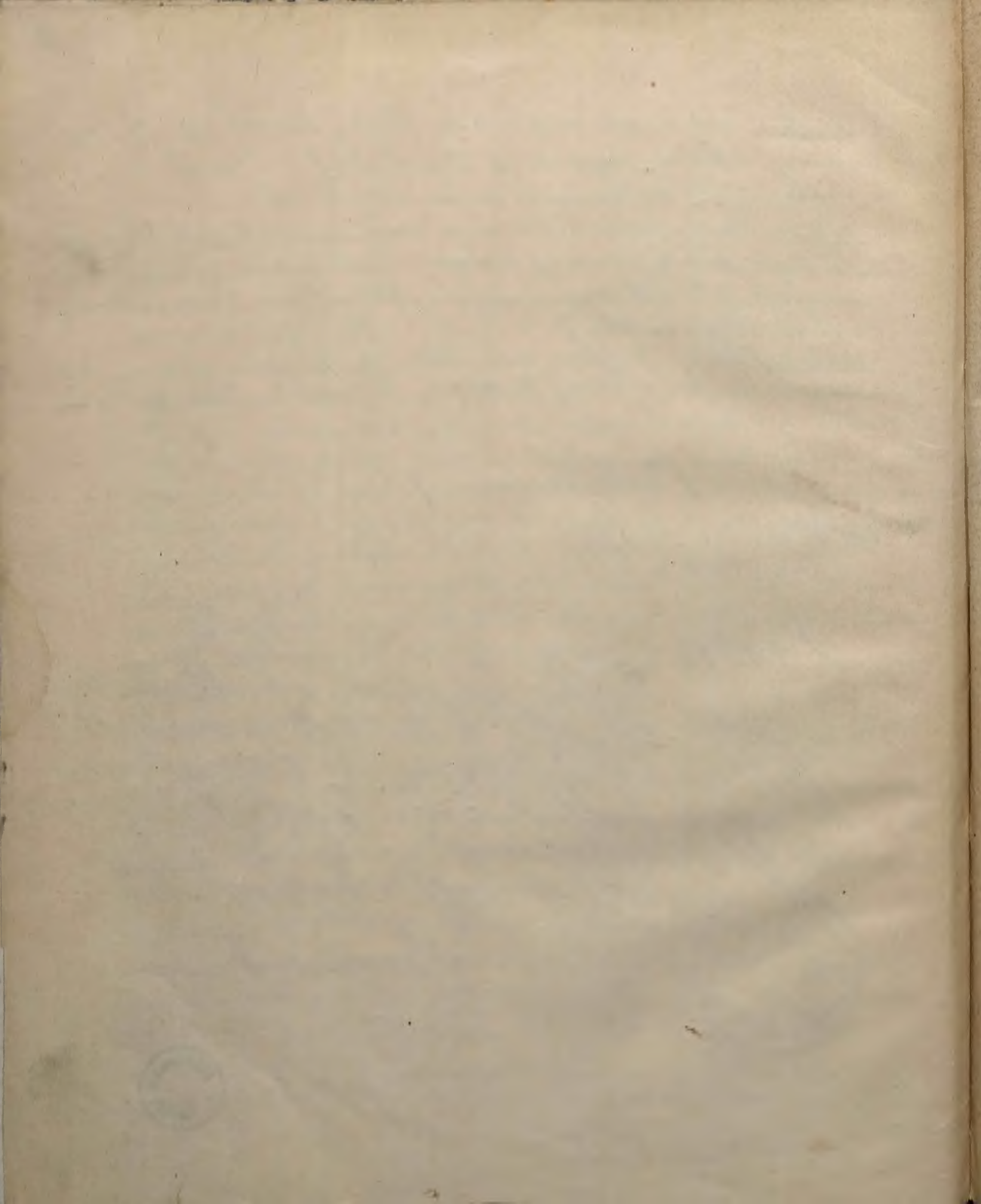
L 18548.

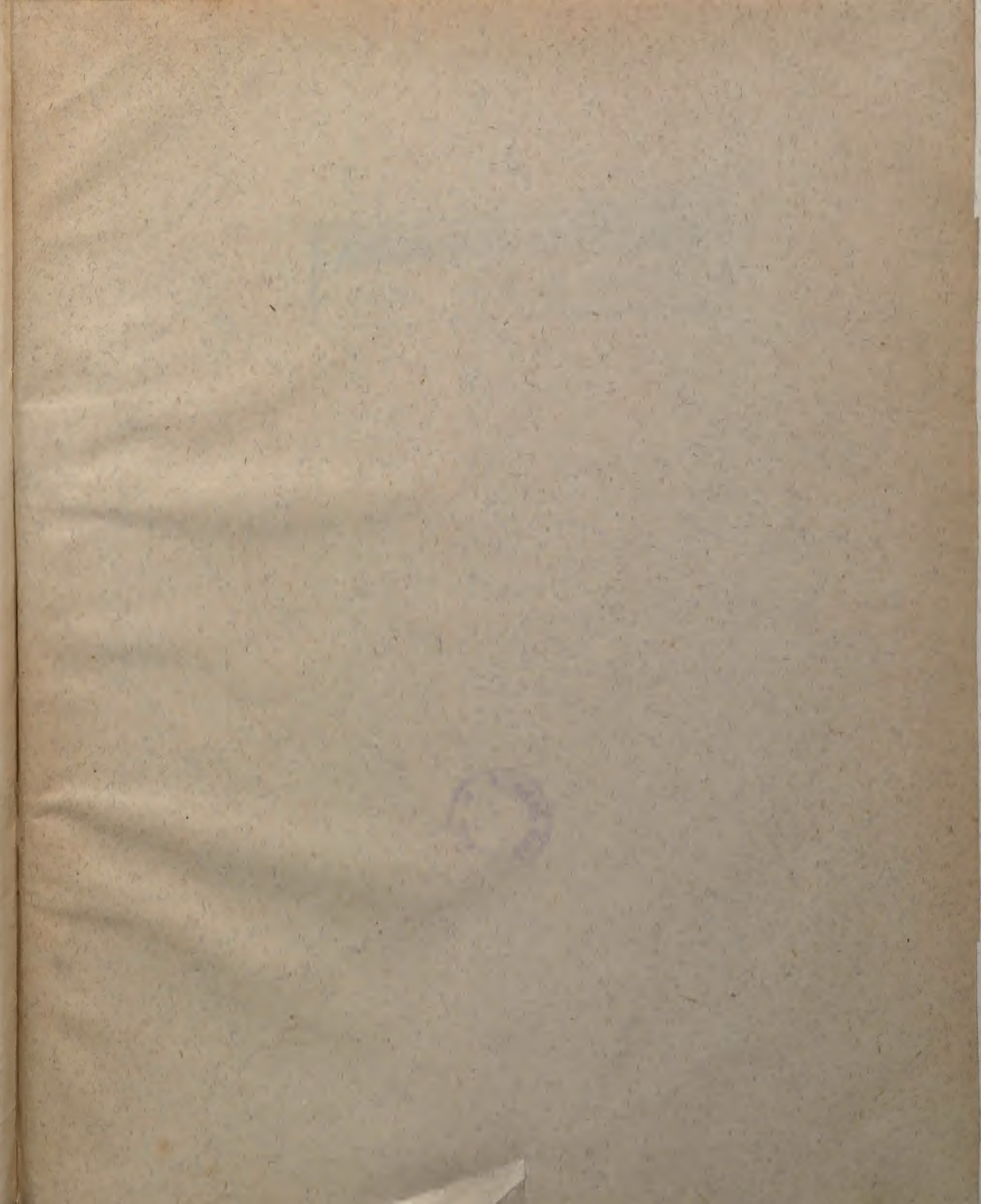
Wzrokli Perzydum c.k. Kamiermistrze
 pozwolito rekupentem & dnia 12^{go} Sierpnia 1887.
 L 3259 na przedstawienie na tutejszej scenie
 komedii w 3 aktach & włoskiego Pawła Ferrari
 pod tyt. "Dwie damy".
 Lwów dnia 18^{go} Sierpnia 1887.



Marynowski







BIBLIOTEKA TEATRALNA

Własność Gminy m. Płowa.



K. 40
1989.03.10
75

